Rok 1. Grudzień No. 10.

POCHODNIA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ARTYKUŁOM POPULARNO-NAUKOWYM RÓŻNEJ TREŚCI OBCHODZĄCEJ KAŻDEGO CZŁOWIEKA. WYCHODZI W POŁOWIE KAZDEGO MIESIĄCA.

PRENUMERATA WYNOSI $1.00 ROCZNIE, 50c. PÓŁR. Z GÓRY. NUMER POJEDYŃCZY 10c. LISTY I PRZEKAZY ADRESOWAC: „POCHODNIA", 627 MILWAUKEE AVE., CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM "DZIENNIKA LUDOWEGO", 627 MILWAUKEE AVENUE, CHICAGO, ILLINOIS.

No. 10. Grudzień Rok I.

„POCHODNIA"

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ARTYKUŁOM POPULARNO-NAUKOWYM RÓŻNEJ TREŚCI OBCHODZĄCEJ KAŻDEGO CZŁOWIEKA. WYCHODZI W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA : : : : : :

Prenumerata wynosi $1.00 rocznie, 50c półr. z góry. Numer pojedyńczy 10c
Listy i przekazy adresować: „POCHODNIA" 627 Milwaukee Ave., Chicago, Ill.

Wiedza i oświata — to najlepsza broń robotnika!

Są ludzie, którzy powiadają, że robotnikowi nie potrzebna jest nauka. Inni znów twierdzą, że dla ludzi biedniejszych wystarczy, jeżeli umieją tyle czytać, aby się modlić z książki do nabożeństwa, umieć podpisać swoje nazwisko, i dorachować do setki. A są ludzie jeszcze inni, którzy sądzą, że dość, gdy lud czyta byle jakie bzdurstwa klerykalne, nad którymi stare baby wylewają potoki łez lub zasypiają po obiedzie. Wszyscy jednak oni są przeciwni temu, żeby chłop i robotnik dowiedział się o tym, jak wyglda świat, jak rozwija się życie na ziemi, jak wygląda niebo, gwiazdy, głąb ziemi, jak żyją rośliny, zwierzęta i ludzie, i jak żyli przed laty.

Są to tak zwane nauki przyrodnicze.

o których nigdy ludowi słowa nie mówiono, bo bano się, że ten lud zmądrzeje, kiedy pozna, co się wokoło niego dzieje.

Zdanie, że nauka i wiedza wszechstronna jest niepotrzebna dla szerokich mas ludu biednego, wypowiadają dość często i bez ogródki przedstawiciele obecnego ustroju kapitalistycznego. Nie powinno nas to dziwić. Przecież systemowi opartemu na wyzysku, na ujarzmieniu człowieka, zależy na tym, by promyki nauki nie przedzierały się do mas najmickich.

Człowiek ciemny znosi wyzysk i wszelki ucisk z bezprzykładną uległością.

Człowiek, nie mający pojęcia o zjawiskach przyrody, lub życia ludzkiego — nie zdolen też — albo w małym stopniu — pojąć zasady o wolności. Panom trzeba więc wielkiej ciemnoty mas, ażeby je utrzymać w zależności od siebie i by tym masom ani się śniło wyjąć kark z jarzma ślepej uległości dla klasy panującej.

Najdziwniejszym jednak jest to, że nieraz ludzie świadomi, zawdzięczający swe stanowisko społeczne swej władzy, nabytej wśród ogromnych mozolów i po przezwyciężeniu niezliczonych trudności, wyrażają się przeciw wszechstronnemu wykształceniu mas ludowych, potępiają dążność robotnika do nauki i nieograniczonej wiedzy. Do ludzi tych możnaby nieraz krótko i węzłowato zastosować bardzo trafne przysłowie: "nie pamięta wół, jak cielęciem był". Zapominają oni zwykle, jak w gimnazjach i uniwersytetach panicze z wysokich rodów z góry na nich spoglądali i lekceważąco ich traktowali. Zapominają o wszystkich upokorzeniach, gdy jako biedni studenci chodzili po wielkich domach, ubiegając się o lekcję. Tacy ludzie, to przekupnie swej wiedzy. Ich nauka nie uszlachetniła, ale przeciwnie poniżyła. O nich wiele się rozwodzić nie warto. Oni nie godni tego, że może oj-

ciec ich był prostym robotnikiem, tego najszlachetniejszego, bo najużyteczniejszego stanu w społeczeństwie ludzkim.

Nauka i wiedza dla robotników stają się koniecznymi

na każdym kroku odczuwamy ich braki i one to w przyszłości, może niedalekiej już, mają robotników uwolnić z więzów poniżenia, wyzysku i niewoli. One są i będą najskuteczniejszą bronią w obronie praw robotniczych.

Robotnik, znający historję, nauki przyrodnicze — to jednostka niezmiernie pożyteczna w ruchu robotniczym. Taki człowiek nie domyśla się słuszności zasad socjalistycznych, ale je własnym rozumem pojmuje. Wykształcony robotnik nie nadsłuchuje tylko, co inni, rozumniejsi od niego mówią, ale w każdym wypadku jest w stanie wydać swój własny sąd, na rozumowaniu oparty.

Nauka daje pewność siebie uświadomionemu robotnikowi.

Nauka wyrabia samodzielnie myślących ludzi dla wolnych organizacji robotniczych, tak nam bardzo potrzebnych.

Nauka w głowach bogaczy, lub w głowach zaprzedanych im profesorów, to narzędzie do tym skuteczniejszego ujarzmienia mas.

Nauka zaś w głowach uświadomionych najmitów, to potężna broń na rozbicie systemu kapitalistycznego.

Nie unikać więc powinien robotnik nauki, lecz przeciwnie powinien ją nabywać, pogłębiać, aby wyrobić w sobie umysł samodzielny i dobrze przygotowany do nieubłaganej walki z wyzyskiem i uciskiem kapitalistycznym.

"DNI CZERWCOWE."

(Karta z historji walki robotników francuskich)

I.

W lutym 1848 roku robotnicy w Paryżu po raz trzeci zrobili rewolucję, domagając się republiki i zupełnej równości i wolności politycznej dla pracującego ludu. Pierwsza rewolucja we Francji, zwana Wielką, rozpoczęła się jeszcze w roku 1789 i trwała do roku 1796. Bez przerwy prawie przez lat 7 burzył się tu i krew przelewał na ulicy lud francuski, i w rewolucji tej zostało zupełnie zniesione śedniowieczne panowanie szlachty pańszczyźnianej i kleru, czyli feodalizmu. Ostatni król szlachty, Ludwik XVI, został jako zdrajca kraju skazany na śmierć i we Francji zapanowała republika. Ale niedługo lud roboczy cieszył się owocami swej walki. Na miejsce szlachty zapanowała burżuazja przemysłowa i finansowa, a przerażona potęgą klasy robotniczej, nie dopuściła jej do korzystania z praw politycznych i zaprowadziła w roku 1804 na nowo monarchję — rządy Napoleona I. Tak trwało znowu dziesiątki lat, lud pracujący żył po dawnemu w nędzy, na tron Francji powrócili niedługo po Napoleonie królowie z dawnej dynastji, arystokracja i kler panoszyli się i zdawało się, że wszystko, czego Wielka Rewolucja dokonała, poszło na marne, — tylko kapitaliści bogacili się i korzystali z wolności.

W roku 1830, w lipcu, robotnicy w Paryżu zrobili po raz drugi rewolucję, znowu potoki krwi robotniczej płynęły po brukach Paryża, ale burżuazja i tym razem otumaniła proletarjat i, korzystając z jego zwycięstwa tylko dla siebie, powołała na tron nowego króla podług swego gustu, który oddał rządy już nie arystokracji i szlachcie, lecz bogatej klasie kapitalistów.

Przez długie lata trwała znowu bieda i upośledzenie pracującego ludu, który był pozbawiony zupełnie praw politycznych: prawa wyborów do parlamentu, prawa związków itd., a w dodatku jeszcze szybko rozwijający się teraz, przy panowaniu burżuazji, przemysł, wyniszczył ludność robotniczą i doprowadził ją do ostatniej nędzy.

W lutym zatym 1848 roku niezmordowany robotnik paryski powstaje po raz trzeci z rozpaczliwym postanowieniem teraz już nietylko dla innych krew przelewać, ale i własną swoją dolę poprawić.

Tym razem robotnicy po kilkodniowej walce z wojskiem na ulicach Paryża zwyciężyli rząd tak gruntownie, że natychmiast mogła zostać ogłoszoną republika. Ale robotnicy, nauczeni doświadczeniem poprzednich rewolucji, już się samym ogłaszaniem republiki nie zadowolnili. Powiedzieli oni sobie: Znamy już rządy burżuazyjne, teraz my chcemy republiki dla siebie, chcemy chleba i pracy dla wszystkich, chcemy zniesienia wyzysku i nierówności między ludźmi. Burżuazja, a właściwie jej Rząd tymczasowy, który ustanowiony został zaraz po zwycięstwie rewolucji, ze strachu przed robotnikami obiecywał wszystko uczynić, byle tylko zyskać na czasie. Póki robotników zwodzono rozmaitemi sposobami, rząd burżuazyjny starał się na gwałt uzbrajać cichaczem wojsko i wszystkich "obywateli," to jest majętną burżuazję. A gdy po trzech miesiącach daremnego czekania, w czerwcu, robotnicy, zniecierpliwieni i zrozpaczeni głodem i bezrobociem, postanowili siłą obalić rząd burżuazji, ten już miał na wołanie robotników o chleb i pracę gotową odpowiedź: bagnet i kulę. Nastąpiła na ulicach Paryża owa słynna rzeź czerwcowa, która trwała niemal cztery dni bez przerwy i o której do dziś dnia straszne wspomnienie panuje w sercach robotników francuskich, pobudzając jeszcze wnuków i prawnuków tych, co wówczas walczyli, do śmiertel-

nej nienawiści przeciw jarzmu kapitalistów i do walki bohaterskiej o wyzwolenie robotników.

II.

Dnia 22 czerwca, robotnicy paryscy spróbowali po raz ostatni spokojną demonstracją wywrzeć nacisk na burżuazję. Olbrzymi pochód ze 117 tysiącami robotników posunął się ulicami Paryża ku gmachowi, w którym zasiadał rząd republiki, i deputacja z kilku robotników, z robotnikiem Pujol (czytaj Pużol) na czele, poszła rozmówić się z rządem. Między ministrem burżuazyjnym a robotnikiem zaszła tedy następująca rozmowa:

— Obywatelu, — zaczął Pujol — przed rewolucją lutową...

— Proszę bardzo, — przerwał zaraz minister, — zdaje mi się, że zaczynacie trochę za rozwlekle.

— Obywatelu, — ciągnął dalej niezmieszany robotnik — uszanuj w delegowanych od ludu wolność słowa. Będę tak mówił, jak uważam za potrzebne, albo też wcale nie będę mówił....

— A więc mówcie, — odrzekł minister — ale pamiętajcie, że mam bardzo mało czasu.

— Obywatelu, — odpowiada Pujol — twój czas należy nie do ciebie, tylko do ludu, którego jesteś ministrem...

— Obywatelu Pujol, — rzecze na to rozdrażniony minister z groźnym ruchem — my się już znamy od dawna i mamy na siebie oko...

— Jak wam się podoba, — odrzecze robotnik — ale wiedzcie, że w tym dniu, gdym się poświęcił sprawie wyzwolenia ludu, dałem sobie słowo, że żadnemi groźbami nie dam się zastraszyć. Nie fatygujże się, obywatelu, daremno, bo się twoich gróźb nie boję!...

Minister widząc, że z Pujolem rady sobie nie da, zwraca się do innych członków deputacji i mówi rozdrażniony.

— Nie mogę uznać człowieka, który przyjmował udział w w powstaniu 15 maja, za przedstawiciela ludu. Mówcie wy inni, przedstawcie mi wasze zażalenia.

Na to Pujol, zasłaniając rękami swych kolegów poza sobą:

— Nikt tu nie będzie przemawiał przedemną!

I i inni robotnicy też chórem:

— Nie, nie! On ma mówić od nas, jego słuchajcie!

Minister upokorzony tą solidarnością i stanowczością robotników, których chciał z góry traktować, cofa się o krok w tył i woła w pasji:

— Cóż to, czy jesteście niewolnikami tego człowieka?

— Ostrożnie, obywatelu, — woła na to Pujol — nie śmiej obrażać delegowanych od ludu!

— A czy wiesz ty, — krzyczy minister — że przemawiasz do członka rządu?

— Naturalnie, — odrzecze Pujol, — ale właśnie jako członek rządu, winien mi jesteś, obywatelu, szacunek.

— Ja... tobie? — woła zdumiony minister.

— A tak, obywatelu. Ty jesteś członkiem rządu, ale ja jestem delegowanym od ludu. I jeżeli nie zechcesz nas wysłuchać, to wyjdziemy stąd...

— A więc mówcie już, — odrzekł minister, — zagryzając wargi.

— Obywatelu, — zaczął ze spokojem i godnością delegowany robotników swą przerwaną przemowę — przed rewolucją lutową cierpiał lud roboczy nieznośny wyzysk kapitału. Aby wyzwolić się z pod jarzma kapitalistów, lud wznosił barykady i złożył broń dopiero wtedy, kiedy ogłoszoną została ludowa i socjalna republika, która miała wybawić lud na zawsze od niewoli. Dziś robotnicy widzą, że zostali niegodziwie oszukani. Przez to chcę po-

wiedzieć, że robotnicy zdecydowani są położyć wielkie ofiary, nawet ofiarę życia swego, aby swe prawa obronić.

— Rozumiem was, — odpowiada minister, — otóż dobrze, słuchajcie teraz, co ja wam mam do powiedzenia. Jeżeli robotnicy nie usłuchają i nie wyniosą się na prowincję, to ich zmusimy do tego siłą, rozumiecie? siłą!

Na to robotnik:

— Aha, siłą. Dobrze. Teraz wiemy już to, czegośmy się chcieli dowiedzieć.

— A czegoście się chcieli dowiedzieć? — pyta minister.

— Chcieliśmy się dowiedzieć, że rząd tymczasowy nigdy szczerze nie myślał o tym, żeby poprawić dolę robotników. A teraz żegnaj, obywatelu!...

I z temi słowami deputowani robotników opuścili gmach rządu i wrócili do swych towarzyszy, czekających na placu Ś-go Sulpicjusza. Skoro masa dowiedziała się, że wszelka nadzieja na dobrą wolę rządu znikła, jak burza wzniósł się jeden okrzyk z piersi setek tysięcy:

— Śmierć albo wyzwolenie!

Z hasłem "Pracy i chleba!" robotnicy rozeszli się, umówiwszy się na drugi dzień rano na godzinę szóstą.

Nazajutrz o świcie, 23 czerwca, był to piątek, kto żył z robotników paryskich był na nogach. Na ulicach wrzało życie. Przez noc i rano wyrosły barykady, jak z pod ziemi. Ścinano setki drzew z ulic, skwerów, ogrodów, wyrywano sztachety żelazne z przed gmachów rządowych, aby je używać później jak do obrony, tak do wyrywania kamieni z bruku. Wchodzono tłumnie do mieszkań od domu do domu i zabierano wszelkie przedmioty, mogące się przydać do obrony lub do budowy barykad. Z desek, drzew, kamieni, wozów i różnych mebli, budowano barykady mocne, szerokie jak wał forteczny, wznoszące się do pierwszego i drugiego piętra domów. Ze składów broni i żelaza szybko pozabierano, co się tylko mogło przy-

dać. Kobiety lały po domach kule z ołowiu, topionego z rynien dachów i blach z przed okien. Wprawny już w stawianie barykad z trzech rewolucji, robotnik paryski wznosił te swoje fortece walki ulicznej prawie w mgnieniu oka, wszędzie odrazu, i tą szybkością uniemożliwiał działanie wojska, które nie zdążyło nic jeszcze przedsięwziąć, gdy lud już był oszańcowany i przeciął wojsku swobodę ruchów po mieście.

Główna sieć barykad wzniosła się tym razem, jak we wszystkich poprzednich rewolucjach, nie w nowej, pańskiej dzielnicy, z szerokiemi ulicami i bogatemi domami, tylko na starym mieście, na przedmieściach Ś-go Antoniego, Montmartre, Lavillette, w dzielnicy biedoty pa-ryskiej, gdzie pełno było wązkich, krętych uliczek, niepodatnych do ataku kawalerji lub artylerji, a łatwych do budowania barykad, i gdzie w każdym domu dla walczących robotników pewna była pomoc — ze współczucia lub choćby ze strachu. Tu też wzniosły się z błyskawiczną szybkością nad ranem 23 czerwca barykady po dwie i trzy wpoprzek każdej ulicy, jedna za drugą w odstępach — tak, że robotnicy zmuszeni do odstąpienia od jednej, cofali się szybko za drugą i żołnierze posuwać się tylko mogli z trudem, biorąc szturmem krok za krokiem, bo zdobycie pojedyńczej barykady trwało zwykle długie godziny, tu i owdzie dzień cały. Robotnicy zajęli też koło każdej barykady mieszkania wszystkich okolicznych domów, aby z okien i dachów pomagać walczącym na barykadach, rażąc z góry nacierających na nie żołdaków kamieniami, ukropem, strzałami.

Całe rano wrzało i huczało w przedmieściach robotniczych, lud jak mrowisko sposobił się do boju śmiertelnego. Tymczasem rząd burżuazyjny w pozornej bezczynności się temu przypatrywał. Było to bowiem planem piekielnym ówczesnego ministra wojny, Cavaignac'a (czytaj Kawenjaka), aby dać "kanalji," jak nazywała

robotników burżuazja, "rozzuchwalić się," a później odrazu zdusić w strasznym krwi morzu. Plan zbrodniczy został wykonany. Ale tak szybko, jak panowie sobie myśleli, rzecz się nie udała. Robotnicy drogo sprzedali swe życie i bronili się z taką lwią odwagą i rozpaczną zaciętością, że burżuazja francuska i wogóle wszystkich krajów do dziś dnia zgrzyta zębami z wściekłości na wspomnienie o tym hardym uporze robotników paryskich.

Zegar wskazywał godzinę pół do pierwszej po południu, gdy pierwsze strzały zagrzmiały i bój się rozpoczął. Strzały te padły przy jednej z najpotężniejszych barykad która się wznosiła przy bramie świętego Djonizego; budową tej barykady kierował sam Pujol, który dzień przedtym po raz ostatni przemawiał w imieniu proletarjatu do sumienia ministra burżuazji. Raptem rozległo się bębnienie i oddział straży obywatelskiej — tak nazywała się milicja uzbrojonej przeciw robotnikom burżuazji — zbliżył się do barykady. Z barykady powitano "obywateli" gradem kul. Na pomoc im śpieszy cały świeży bataljon. Ale z okolicznych domów, z okien, dachów, z kawiarni, padają strzały gęsto, "obywatele" padają trupem i zaczynają się wahać. Wtedy robotnicy wypadają z kryjówek i zaczyna się bój z małej odległości. Ale straż obywatelska zgromadza się gęściej i naciera wściekle. Na barykadzie, na wywróconym wozie, stoi robotnik z czerwonym sztandarem. Jeden z "obywateli" wystrzałem z karabina kładzie go trupem. Wnet wskakuje na barykadę młoda dziewczyna i dźwiga w górę sztandar z gorejącą bohaterstwem twarzą. Na chwilę nawet straż obywatelska niemieje na ten widok. Ale prędko wracając do swej krwiożerczej nienawiści do "zbuntowanego" proletarjatu, "obywatele" celują w pierś dzielnej robotnicy i chorąży-dziewczyna pada trupem. W tejże chwili jednak przystępuje na zmianę druga i, trzymając w jednym ramieniu poległą towarzyszkę z sztandarem, ciska drugą

ręką kamienie na nienawistnych obrońców kapitału. Wreszcie barykada musiała być wzięta szturmem przez regularne wojsko pod wodzą gienerała Lamoriciera.

Gdy to się działo przy bramie Ś-go Djonizego, inna scena, napisana również przez historyków, odgrywała się w pobliżu Panteonu, na lewym brzegu Sekwany. Tu jeden burżua, człowiek dobroduszny i poczciwy, ale nie rozumiejący tego, że walka robotników o chleb i pracę była tym razem nieuniknionym strasznym dramatem, postanowił pośredniczyć między rządem a robotnikami i począł zaklinać robotników i żołnierzy, aby zaprzestali walki. Jak zwykle tacy ograniczeni pośrednicy z dobremi radami, którzy wszędzie wyrastają, choć ich nikt nie posiał, gdzie inni walczą na śmierć i życie, tak i ten pośrednik dopiął tylko krótkiej pauzy w walce, podczas której zasła następująca scena.

W imieniu rządu i wojska minister Arago, stojąc przed barykadą, osłonięty wysokim murem z kamieni brukowych, zwrócił się z wyrzutami do robotników, że się porwali do barykad.

Na to robotnicy z barykady odpowiadają:

— Obywatelu, nie rób ty nam wyrzutów. Tyś sobie może poczciwy człowiek, aleś ty nie zaznał na własnej skórze, co to głód i nędza...

Minister próbuje obiecywać pomoc i ratunek od rządu.

— Dość już obiecanek! — wołają robotnicy. — My czynów chcemy!

— Zrobiliśmy dla was, cośmy mogli, — odpowiada minister.

— Nieprawda, niceście nie zrobili dla nas. My z głodu mrzemy! — wołają robotnicy.

— Kiedy mnie obrażacie, rzecz między nami skończona, — rzekł minister i odwraca konia.

Za chwilę armaty przypuściły szturm do muru kamieni i walka śmiertelna zahuczała.

Wrzała już wkrótce na wszystkich punktach. Armaty głównie pobijały robotników i one to właśnie zgotowały porażkę powstania czerwcowego. W kilku punktach wszakże robotnicy cieszyli się pewien czas wygraną. Po wzięciu owej pierwszej barykady przy bramie Ś-go Djonizego, gienerał Lamoriciere ledwie się mógł posuwać dalej w ulice ze swoim wojskiem. Jedna barykada stała za drugą i wojsko się czuło po pewnym czasie znużone. Oddział ten czuł się też już zwyciężonym i na pomoc pośpieszyć musiał głównodowodzący minister wojny, Cavaignac. Ale i pan minister ciężko musiał walczyć. Na przedmieściu Temple musiał on wpierw siedm razy robić daremno szturm na barykadę. Również próba objechania barykady i zaatakowania jej z tyłu była daremna, bo wszędzie w poprzecznych ulicach barykady przecinały wązką drogę. Armaty waliły i kamienie barykady rozlatywały się strzaskane w kawały, ale robotnikom, ukrytym za barykadą nic nie robiły. Wreszcie po czterech godzinach walki, minister sam zmuszony był wołać inne oddziały wojska na pomoc dla siebie i dopiero z pomocą całego świeżego pułku zdobyto — tą jedną barykadę! Tak uporczywie bronili się robotnicy i pod wieczór pierwszego dnia walki byli oni na ogół panami położenia, a nawet barykady nie przestawały wyrastać, posuwając się coraz dalej z przedmieść ku ratuszowi, tak, że siedzący tam rząd czuł się prawie już oblężonym przez robotników. Wielu gienerałów i oficerów było ranionych. Robotnicy, uważając prostych żołnierzy tylko za bierne narzędzia gwałtu, celowali głównie nie w żołnierzy, tylko w dowódców. Po północy wojska zawiesiły ataki, natomiast robotnicy skorzystali z nocy, aby ponaprawiać uszkodzone barykady i wznosić niezmordowanie nowe. Na drugi dzień, 24 czerwca, ulice Paryża były też pokryte baryka-

dami w ilości 414, każda dzielnica w inny sposób, odpowiednio do miejscowych warunków, podług obmyślonego planu. Aby przenosić amunicję, to jest proch i kule z jednego punktu do drugiego, lud wymyślał tysiące wybiegów; urządzano niby to pogrzeby i w trumnie przewożono broń, w blachach od mleczywa, w bochenkach chleba malcy przynosili walczącym ładunki, kobiety udawały ciężarność, aby pod sukniami przynosić zapasy prochu i kul. Gdy zatym rano, 24-go, Paryż jeszcze groźniej wyglądał niż dnia poprzedniego, burżuazję opanowało przerażenie i szał nienawiści do robotników.

Postanowiono wystąpić z całą siłą zbrojną i zdusić powstanie za wszelką cenę.

To też na drugi dzień walka rozpoczęła się na nowo z zażartością niesłychaną. Gdzie tylko wojsko zdobywało zwycięstwo, tam rzucało się na pobitych robotników ze zwierzęcym okrucieństwem i mordowało zwyciężonych bez pardonu. Robotnicy znużeni śmiertelnie walką dwudniową, bezustanną pracą przy budowie barykad i głodem — większość pozostała po pół dnia, po całym dniu bez kęsa chleba w ustach — walczyli jednak dalej bez wytchnienia. Nigdzie, w żadnym punkcie żaden się dobrowolnie nie poddał. Zdumienie i wściekłość rządu burżuazyjnego i gienerałów rosło z każdą chwilą.. Panowie ci myśleli, że pobić "kanalję uliczną", to zabawka dla uzbrojonej ciżby zbirów, nie mieli oni jeszcze pojęcia, z jaką szaloną odwagą i siłą walczą i bronią się ci, których do walki popycha głód i wiara święta w swe prawo i ideały. Powstanie czerwcowe 1848 roku w Paryżu było wogóle pierwszym powstaniem wyłącznie klasy robotniczej w obronie jej własnych ideałów klasowych i nietylko Francja, lecz cały świat burżuazyjny zobaczył w tych dniach okropnych po raz pierwszy potęgę proletarjatu, dążącego do wyzwolenia z jarzma kapitału.

Pomimo tego bohaterstwa jednak w końcu robotni-

cy zostali zwyciężeni. Jeszcze 25go rano — na trzeci dzień walki! — zwycięstwo było niezdecydowane. Rząd musiał ściągnąć na pomoc wojsko i straż "obywatelską" z prowincji. Zewsząd śpieszyli panowie "obywatele w mundurach i z karabinem w ręku, w obronie wojska mordować robotników, wołających o chleb i pracę.

Wreszcie pod takim ogólnym naciskiem, pod nieustannym gradem kartaczy, robotnicy złamani, poczęli się cofać. Raczej wojska poczęły się tylko posuwać naprzód, przez trupy i rannych, bo robotnicy żywi nie cofali się nigdzie. Na ostatnich barykadach robotnicy padali do jednego wymordowani.. Kiedy już żadnej nadziei do zwycięstwa nie było, i wtedy robotnicy nie poddali się, nie stracili ducha. Na czwarty dzień walki, rano, 26go., robotnicy szli już na barykady — umierać. I jak bohaterowie wierni przysiędze, którą sobie dali przed powstaniem: "śmierć, albo wyzwolenie" — szli teraz na śmierć, wiodąc za sobą na barykady rodziny swoje.Otoczeni żonami i dziatwą, stali obdarci, poranieni, spoceni, wygłodniali proletarjusze na swych ostatnich barykadach, wołając: "Skoro nie możemy im dać chleba, niechaj umierają razem z nami!" I kobiety-proletarjuszki rzucały się w tym ostatnim dniu walki o chleb i pracę z odkrytą piersią, przeciw żołdackim bagnetom, wołając: "Gdy wymordowaliście naszych mężów i braci, mordujcie i nas!"

Najbardziej bohatersko i do ostatka bronili się robotnicy na przedmieściu św. Antoniego. Jeszcze na czwarty dzień walki rozlepili oni na murach ogromną proklamację tego brzmienia:

"Do broni! My chcemy republiki ludowej i socjalnej! Chcemy panowania ludu! Do obrony tej republiki niechaj stają wszyscy! Jesteśmy zdecydowani walczyć i umierać! Do boju bracia! niech żaden nie zostanie głuchym na nasz apel! Jeśli nie zwyciężymy, chcemy zgi-

nąć wszyscy pod gruzami przedmieścia św. Antoniego! Spojrzyjcie na wasze żony i dzieci, a pośpieszycie do nas!"

Po raz ostatni delegaci od robotników tego przedmieścia zwrócili się do rządu z zapytaniem, czy chce co uczynić dla zaspokojenia nędzy robotników. Zaciekła burżuazja chciała już tylko krwi. Z ponuro spuszczoną głową wrócili wysłani od robotników do swych towarzyszy na przedmieście, a gdy przedostali się z trudem przez olbrzymią barykadę, zamykającą dostęp do tej dzielnicy i dali zgromadzonemu tam tłumowi w bluzach odpowiedź rządu: "Żadnych ustępstw! Żadnej nadziei!" wtedy olbrzymi, straszny okrzyk zrozpaczonego tłumu, wzniósł się ku niebu i za chwilę wołano już tylko: A więc idziemy umierać!

Od 10tej rano do 7ej wieczór trwał szturm do barykady na przedmieściu św. Antoniego i obrona bohaterska robotników. Dzieje ludzkie nie znają przykładów większego bohaterstwa, niż to, z którym walczyli tu prości robotnicy wraz z kobietami i dziatwą, przeciw strasznej przemocy wojennej. Ale wreszcie kartacze odniosły zwycięstwo. O siódmej wieczór nieustanna kanonada zamilkła. Bitwa była skończona.

Bitwa była skończona, ale mord się dopiero zaczął. Teraz na zwyciężonych robotników, na pozostałych bohaterów, rzucili się "zwycięscy" — burżuazja i jej gienerałowie, aby morzem krwi roboczej zagasić swe pragnienie zemsty. Pióro wzdryga się opisywać te jatki, które rozszalałe "obywatelstwo" czyniło z ludności roboczej. Zabijano uwięzionych robotników tysiącami, wtrącano ich setkami do piwnic ratusza, gdzie stali po kostki w cuchnących wodach stocznych i krwi własnej, tak gęsto napchani, że się dusili. . Gdy w piwnicach nie było więcej miejsca, uwięzionych wyprowadzano partjami, stawiano przed murem i rozstrzeliwano. Zabitych

nie dawano sobie nawet trudu chować, wrzucano ich wprost do rzeki. Dzień i noc nie ustawały strzały karabinów — to mordowano robotników wprost na ulicach, w mieszkaniach, gdzie się który pokazał.

Nigdy nie zliczono dokładnie liczby ofiar tej strasznej rzezi. Zbrodniarze z burżuazji i ich płatni historycy starali się hańbę swych zbrodni ukryć pod tchórzliwym kłamstwem. Ale udało się prawdę wykryć; liczba zabitych wynosiła 12,000, z tych tylko około 3,000 poległo na barykadach, a reszta — trzy razy tyle — była wymordowana po skończonej bitwie, gdy robotnicy się już wcale nie bronili, gdy ostatni opór walczących "o chleb i pracę" był złamany.

III.

Okrzyk dzikiego tryumfu i radości wzniosła burżuazja francuska po dniach czerwcowych. Robotnicy pobici! Bunt niewolników stłumiony! Teraz panowanie kapitału na wieki zabezpieczone! Po tym morzu krwi i tej strasznej klęsce proletarjat nie będzie śmiał już marzyć o równości i wolności, ani się buntować przeciw nędzy i wyzyskowi! Tak wołali w szalonej radości panowie kapitaliści we Francji.

Ale stało się inaczej! Porażka powstania czerwcowego co prawda, na kilkanaście lat stłumiła ruch robotniczy we Francji. Kwiat proletarjatu paryskiego był ścięty, wymordowany, jego główni prowodyrowie, socjaliści pozabijani, wtrąceni do więzienia, lub zesłani.

Ale porażka ta nietylko nie stłumiła idei socjalizmu, idei wyzwolenia wśród robotników francuskich, lecz przeciwnie, dała jej nową siłę. Przedtym robotnicy francuscy mieli jeszcze wiarę w to, że dość jest przepędzić króla lub cesarza i ogłosić republikę, aby przy dobrej woli panującej burżuazji, lub pod naciskiem robotników

można było usunąć zaraz wyzysk, nierówność, nędzę i bezrobocie. Nie rozumieli oni, że dopóki burżuazja wogóle rządzi i panuje, czy to w monarchji, czy w republice, dopóki fabryki, warsztaty, kopalnia i ziemia są prywatną własnością kapitalistów, a miljony ludu żyją tylko ze sprzedaży swej siły roboczej, póty wyzysk, nędza i bezrobocie nie dadzą się usunąć. Nie zrozumieli oni, że wyzwolenie z pod jarzma kapitału nie da się przez jedną, choćby najbardziej bohaterską bitwę uliczną osiągnąć, tylko długą walką codzienną — fachową i polityczną, która dopiero podniesie, uświadomi, i zorganizuje całą masę proletarjatu, a przez to przygotuje ostateczną rewolucję socjalną i zwycięstwo klasy robotniczej — we wszystkich krajach.

Po rzezi czerwcowej robotnicy francuscy zrozumieli, że wyzwolenia im nie przyniesie jeszcze sama republika i wolności polityczne, że może to uczynić tylko stała, otwarta walka klasowa, dla której wolności i prawa republikańskie są właśnie konieczne, aby klasa robotnicza mogła się otwarcie uświadamiać i organizować w partję socjal-demokratyczną. To też ideja socjalizmu, ideja wyzwolenia zaczyna się wśród robotników rozwijać szybko właśnie od pamiętnych "dni czerwcowych". Ledwie dwadzieścia trzy lata minęły od owych dni krwawych, a robtnik paryski już znowu powstał i przez blisko trzy miesiące panował nawet nad miastem stołecznym Francji — w owej słynnej Komunie Paryskiej 1871 roku. Ale nie tylko w Paryżu nie udało się burżuazji wytępić rzezią czerwcową socjalizmu. W roku 1848 walczył o wyzwolenie od kapitału właśnie tylko proletarjat miasta Paryża. W prowincji Francji lud zgnębiony i ciemny zdobywał się najwyżej na łamanie maszyn lub rozruchy głodowe, jak w Lugdunie w 1831 r. Dziś socjalistyczny ruch robotniczy w całej Francji, we wszystkich miastach, ba, nawet na wsi kolosalne zrobił postępy.

Dziś już nie sam Paryż, tylko cała niemal Francja robotnicza, jest w stałej codziennej wojnie z burżuazją.

W r. 1848 robotnik francuski był jedynym, który porwał się do walki o swe wyzwolenie. W innych krajach, w Niemczech, w Austrji, we Włoszech, Holandji, masowego ruchu robotniczego nie było jeszcze wcale, tylko pojedyńcze jednostki rozumiały interesy robotnicze i usiłowały oświecać masę. Wówczas w tych wszystkich krajach sama burżuazja dopiero zdobywała rękami i krwią robotników wyzwolenie od panowania absolutyzmu i szlachty. Dziś ruch robotniczy wre w całej Europie, w Ameryce, ba, w Azji Wschodniej, mianowicie w Japonji. W Rosji i w Polsce dziś pod sztandarem socjalizmu lud roboczy kruszy pęta ostatniego rządu despotycznego w wybuchach rewolucji ulicznej.

Tak bujnie zakwitło dziś żniwo tej idei socjalizmu, którą burżuazja francuska chciała wytępić na wieki w dniach czerwcowych 1848 roku. I owe bohaterskie powstanie robotników paryskich przyczyniło się olbrzymio do tego rozkwitu socjalizmu. Odgłos owej walki i rzezi zbudził sumienie i myśl nieświadomych robotników na całym świecie. Święta tradycja bohaterstwa i ofiar proletarjatu paryskiego utrzymywała się żywa przez lat dziesiątki i wyjaśniła robotnikom w jednym kraju po drugim, że panująca burżuazja jest ich wrogiem śmiertelnym, z którym walczyć muszą niezmordowanie. Jeżeli "Manifest Komunistyczny" Marxa i Engelsa, ogłoszono w 1849 roku, ich teorja naukowa wyjaśniła robotnikom całego świata, skąd pochodzi ich niewola i w jaki sposób socjalizm może zwyciężyć, to robotnik paryski w dniach czerwcowych pokazał swym braciom na całym świecie, jak bohatersko należy walczyć i umierać dla idei wyzwolenia miljonów pracujących.

Powstanie czerwcowe 1848 roku skończyło się na razie porażką, ale popchnęło sprawę ostatecznego wy-

zwolenia proletarjatu z olbrzymią siłą naprzód. I tak samo dziś każde powstanie, każda walka, stoczona przez robotników polskich i rosyjskich, choć kończy się pozornym zwycięstwem żołdaków, przybliża ostateczne zwycięstwo ludu.

Tylko obłudni wrogowie robotników mogą im mówić o "daremnym krwi rozlewie" i wylewać łzy krokodyle nad zaślepieniem walczących robotników. W rzeczywistości ani jedna kropla krwi robotniczej, wylana za sprawę wyzwolenia, nie poszła i nie pójdzie na marne. Każda ofiara jest wzmocnieniem tego fundamentu, na którym stanie nasze przyszłe zwycięstwo.

Kazimierz Tetmajer.

HASŁO

Co potym będzie, co nas to obchodzi,
Byle to zniszczyć, co jest teraz złem,
Jutro — pragnienia nowe światu zrodzi,
Dzisiejszym żyjmy dniem!

Dzieło tworzenia po zniszczenia dziele,
Przyjdzie — niech o nim utopiści śnią —
My śnić nie mamy czasu, burzyciele,
Dzisiejsze walim zło!

Jutro?... Ach, choćby z przyszłości odmętu
Żaden świat lepszy nie wyłonił się;
My, pełni wzgardy, ohydy i wstrętu,
Dzisiejsze niszczmy złe!

G. Meinert.

LEGJONIŚCI POLSCY NA SAN DOMINGO.

Po upadku Polski wielu uczestników Kościuszkowskiego powstanie udało się za granicą. Wśród nich powstała myśl założenia wojska polskiego, które tymczasowo miało pozostać na usługach Francji. W tym celu gienerał Henryk Dąbrowski, poparty przez dowódcę armji francuskiej we Włoszech, Napoleona Bonapartego, zaczął formować w Lombardji w roku 1797 tak zwane legjony polskie. Wielu Polaków pośpieszyło pod sztandary Dąbrowskiego, który po pięciu miesiącach miał już sześć tysięcy wybornego żołnierza. Do legjonistów zgłosił się również gienerał kościuszkowski, Kniaziewicz.

Młodzież całymi gromadami opuszczała progi domowe, aby zwiększyć szeregi narodowe. Legjoniści ofiarowali swe usługi Napoleonowi, na którego pomoc w odzyskaniu niepodległości Polski w przyszłości liczyli.

W roku 1804 ogłosił się Napoleon cesarzem francuskim, a szczęście stale mu sprzyjało. Legjoniści polscy służyli mu wiernie, walczyli we Włoszech, w Hiszpanji, wszędzie zaś występowali tak dzielnie, że Napoleon stawiał ich za wzór swoim własnym żołnierzom. Pomimo to nie oszczędzał ich, lecz przeciwnie, wystawiał na pierwszy ogień, i posyłał w najniebezpieczniejsze miejsca.

Narówni z gienerałem Dąbrowskim, który był naczelnym wodzem tych legjonów, wsławili się najwięcej Kniaziewicz, Chłopicki i Rymkiewicz.

Napoleon odpłacił się czarną niewdzięcznością legjonistom polskim za ich wierną służbę i poświęcenie się dla jego sprawy. Łudził nadzieją pomocy w sprawie ojczystej, wreszcie przemocą wysłał legjony polske aż na wyspę San Domingo (wyspa Haiti, inaczej zwana San Domingo, znajduje się w archipelagu Wielkich Antylów

w Ameryce środkowej. Jest zamieszkana przez murzynów i mulatów. Należała ona pierwotnie do Francji, lecz ludność miejscowa powstała kilkakrotnie przeciw niej. Wreszcie w roku 1803 wojsko będące na wyspie, już nie wystarczało do stłumienia rewolucji. Wówczas Napoleon Bonaparte, pierwszy konsul Francji i głównodowodzący jej wojskami posłał posiłki, złożone przeważni... polskich legjonistów) w Ameryce, aby walczyły ze zbuntowanymi murzynami. Opis tego właśnie smutnego okresu życia legjonów dajemy poniżej:

Dnia 29 marca 1802 r. Bonaparte wydał rozkaz gienerałowi ministrowi wojny Bertier, ażeby wsadził na okręty i wysłał na San Domingo trzecią półbrygadę polską. Z Haiti błagał o posiłki gubernator Leclerc, walczący z powstaniem murzyńskim. Trudno było o okręty, mające przewieść żołnierzy, gdyż flota francuska albo była nadrujnowana, albo też rozproszona po różnych wodach globu.

Ostatecznie jednak legjonistów przewieziono na San Domingo. Mieli oni być rozprószeni oddziałkami po całych punktach wyspy. Bonaparte chciał w ten sposób zatrzeć odrębność legji, jako osobnego korpusu, jednakże protest gienerała Jabłonowskiego ocalił ją od tego losu. Polacy nie zostali rozdzieleni.

Położenie Leclerc'a, a zatym Francuzów i naszych legjonistów na wyspie San Domingo było rozpaczliwe.

W ciągu września i października wzmaga się powstanie z przerażającą szybkością, całe bragady z armji kolonjalnej (złożone z murzynów) przechodzą do powstańców, a Francuzi dziesiątkowani ponadto przez żółtą febrę, tracą jeden posterunek po drugim, wypierani przez tubylców.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu było to, że Leclerc, chciał znieść armję kolonjalną. Wtedy mulat Petion, stojący z artylerją przez Francuzów obsługiwaną, w

mieście Haut-du-Cap, zagwoździł armaty i dał hasło do wybuchu powstania; artylerzystów odesłał do Cap'u żegnając ich tymi słowami:

"Francja chce nas znów w niewolników zamienić i narzucić nam dawną sromotę służebnictwa. Powiedzcie Leclercowi, że od dziś dnia wypieramy się Francji i już dłużej jej za naszą ojczyznę nie uważamy".

Gubernator Leclerc nie cofał się przed żadnym okrucieństwem, ażeby stłumić powstanie.

W Vesettes stał kwaterą pułkownik Faustyn Repussard, mający pod sobą część Igo bataljonu naszego legjonu. pod dowództwem majora Wierzbickiego, oraz 12ty bataljon kolonjalny, z 750 ludzi liczący, pod komendą murzyna Desire. Gdy się Dessalines (gienerał dywizji wojsk kolonjalnych, przywódca powstańców) pod Verettes przybliżył, wszczął się w mieście popłoch nie do opisania, a bataljon kolonjalny wiedząc o tym, że Dessalines nie daje pardonu, drżeć i już o przejściu do swoich poszeptywać począł.

Gdy komendant dowiedział się o szeptaniu murzynów, rozbroił tenże bataljon, i wyprowadziwszy go na rynek, kazał majorowi Wierzbickiemu wystrzelać go. Wierzbicki spojrzał po swoich, lecz widząc z oczów legjonistów, że żaden z nich tego rodzaju rozkazu nie wykona i do bezbronnych murzynów strzelać nie będzie, odpowiedział Quentinowe te pamiętne słowa: "Jesteśmy tu przez pierwszego konsula dla obrony Francji, lecz nie dla wykonywania egzekucji na bezbronnych mieszkańcach przysłani". Komendant mu na to: "Przypomnimy wam to kiedyś!" i wezwawszy bataljon francuski, pod dowództwem pułkownika Vernier, kazał egzekucji dokonać. Nasi musieli być świadkami niemymi tego mordowania bezbronnych i wyczekiwali. rychło na nich kolej przyjdzie. Quentin wszakże nie śmiał się ich czepiać, a nawet

w raporcie swoim o powyższych słowach Wierzbickiego wcale nie wspomniał.

Słowa te jednak, a i sam fakt odmówienia przez naszych rodaków wykonania egzekucji, szybko się rozeszły po wyspie i miały dla legjonistów jak najlepsze następstwa; murzyni bowiem wtedy dopiero się dowiedzieli, że oprócz Francuzów wysłał Bonaparte na wyspę Polaków, aby wojnę przeciw nim prowadzić. Zaczęto śledzić, wypytywać się, skąd pochodzi naród tak szlachetnymi powodujący się uczuciami,a w końcu Dessalines wydał rozkaz, aby tych wojowników, którzy tak samo, jak jego murzyni, źle mówią po francusku, w przyszłych bitwach od rzezi oszczędzać. Nadto dla oddania czci naszemu narodowi, świeżą półbrygadę numer 20 z najwaleczniejszych powstańców utworzywszy, Dessalines nazwał ją od nazwiska naszego narodu "Polakami."

"Dziwne zaiste miano — piszą kroniki miejscowe — 20 półbrygadzie nadane i dziwna w tym myśl Dessalinesa, ale dzięki temu pomysłowi wielu następnie Polaków od rzezi ocalało, a już samym jego powzięciem Dessalines złożył świadectwo szacunku i współczucia dla nieszczęśliwych synów z nad Wisły".

Leclerc umarł na żółtą febrę, a następcą jego został gienerał Rochambeau, jeszcze bardziej nieludzki od swego poprzednika.

Murzyni odnosili jedno zwycięstwo po drugim. Stan armji francuskiej był bardzo smutny, gdyż na 17,390 ludzi pozostało pod bronią tylko 11,790, reszta leczyła się w szpitalach. Przez choroby i bitwy padło z naszego legjonu 4,344 ludzi, tj. przeszło trzy czwarte z ogólnej liczby Polaków, na wyspę San Domingo wyprawionych.

Dnia 30 listopada opuścili Francuzi na angielskich okrętach wyspę San Domingo, pozostawiając wszakże na niej załogę w mieście Santo-Domingo i licznych ukrytych szpiegów. Ale Anglicy zamiast do Francji odwieźli gie-

nerała Rochambeau wiarołomnie do Anglji, razem z całą armją, która z nim z Cap odpłynęła, a liczącą jeszcze 3,000 ludzi i wszystkich w angielskiej zatrzymali niewoli.

Dessalines stał się wszechwładnym panem wyspy.

Zaledwie flota z odpływających Rochambeau zniknęła mu z oczu, kazał Dessalines chorych i rannych, którzy się w szpitalach na wyspie "Żółtej" znajdowali, wsadzić do szalupy i wszystkich w kanale pomiędzy tą wyspą, a miastem Cap potopić. Kto chciał się pływaniem salwować, jedno uderzenie w głowę kutym w żelazo wiosłem na tamten świat go wysyłało. Ogłosiwszy następnie wolną i niezależną od Francji Rzeczpospolitą, wydał Dessalines w lutym r. 1804 rozkaz, ażeby przyaresztować wszystkich białych wyspy mieszkańców, co do których mianoby pewność, lub tylko podejrzenie, że w nakazanych przez Leclerca i Rochambeau masakrach i zabójstwach udział przyjmowali i żeby ich oddać pod miecz sprawiedliwości.

Wyjęci być mieli z pod tego prawa księża, lekarze, aptekarze, artyści, lub rzemieślnicy francuscy, którzy mogliby być dla ludności w czymkolwiek użyteczni. Wyjątek również stanowić mieli niektórzy wojskowi, a w ich liczbie wszyscy bezwarunkowo Polacy, zostający na wyspie w niewoli.

Pomowiły się na wyspie okropne czasy rzezi, na której wspomnienie zimny dreszcz przenika i trwały kilka miesięcy, a zginąć miało wówczas do 8 tysięcy białych.

Zaraz po ogłoszeniu się gieneralnym gubernatorem wyspy, Dessalines, zapytywany przez gienerałów, co zrobić z Polakami, zostającymi w murzyńskiej niewoli, oświadczył: "przyjąć ich za dzieci wyspy naszej i wszystkich, którzy z nami zostać zechcą, naturalizować."

Z tego przywileju skorzystali nasi rodacy. Wydano im odpowiednie świadectwa, którymi się wszędzie posłu-

giwali i które ich od wszelkich napaści i od rzezi murzynów ochroniły.

Ale już w 1805-tym roku 160-ciu legjonistów naszych, zatęskniwszy za krajem, udało się do Dessalines'a, proszą go o pozwolenie powrotu, ku czemu ten się przychylił i odesłał ich okrętem do Europy.

Niektórzy legjoniści uchodząc wraz z Francuzami z San Domingo, w stokroć gorszą od murzyńskiej — bo w angielską niewolę dostali się. Anglicy z gienerałami francuskimi postępowali gorzej, niż ze zwykłymi niewolnikami-murzynami, a żołnierzy i niższych oficerów traktowali na równi z bydlem.

Legjoniści nasi trzymani tam byli pod pokładami starych okrętów tak jeńcami zapchanych, iż ani odetchnąć, ani się ruszyć nie można było. Wskutek wyziewów i braku przewiewu, szkorbut, ospa, parchy epidemicznie tam panowały, a żywność tak była brudna i wstrętna, że wielu niemogąc jej spożyć, wolało z głodu umierać. Nocny spoczynek przerywały harce i hasania tysięcy szczurów i wszelkiego rodzaju robactwa.

Na to złe nie było żadnego środka pod ręką, żadnej możności, gdyż podług prawa wojennego, aby swoich wydostać, trzeba było obcych jeńców mieć w niewoli i jednych na drugich zamienić. Wydano marynarce francuskiej rozkaz polować po morzu na angielskie okręty i przedewszystkim liczbę jeńców angielskich pomnażać. To polowanie trwało aż do końca 1808 r., a przez ten czas przez całe 5 lat, nasi nieszczęśliwi legjoniści na pontonach powolną śmiercią dogorywali. W styczniu 1809 roku nastąpiła zamiana jeńców.

JULJUSZ SŁOWACKI.

W roku przyszłym Polska święcić będzie setną rocznicę urodzin jednego z największych poetów swoich — Juljusza Słowackiego, urodzonego 23 września 1809 r. w Kamieńcu na Wołuniu, a zmarłego na obczyźnie w Paryżu 3-go kwietnia 1849 r.

Okres czasu, w którym żył i pisał Słowacki, był bodaj najcięższym w dziejach naszych. Było to wtedy, gdy po wojnie Królestwa z Rosją w 1830|1 roku Polska utraciła resztę swej niepodległości, a mocarstwa rozbiorcze: Austrja, Prusy i Rosja, korzystając z osłabienia narodu, odrazu i stanowczo przystąpiły do niweczenia wszystkiego, co polskie, do zgnębienia ducha narodowego i zupełnego zrusyfikowanego lub zniemczenia Polaków.

Zamykano też szkoły polskie, zaprowadzano niezwykle surową cenzurą na książki, i gazety, prześladowano każdą myśl wolniejszą — w czym rządom ze swej strony dzielnie dopomagala rodzima reakcja i duchowieństwo. Okrutnie tępiono wszelkie próby oświaty lub poprawy doli swojej. Wolność każdego obywatela była zawsze w niebezpieczeństwie, gdyż krajem rządziły przepisy stanu wojennego. Gospodarka taka doprowadziła kraj do ruiny. Upadły nauki, przemysł, handel, nawet ludność poczęła gwałtownie się zmniejszać... Położenie narodu było tym straszniejsze, że podstawa jego — masy ludowe były w zupełnej bierności. Brak uświadomienia narodowego, ciemnota, nędza straszliwa, ucisk ekonomiczny chłopa przez szlachtę — wszystko to sprawiło, że masy te odsunęły się zupełnie od życia narodowego. Chłop nienawidził szlachty, na której wówczas głównie opierała się polskość, często bardzo skłaniał się do podszeptów agientów rządowych, wzniecających w nim nadzieję, że

rządy rozbiorcze polepszą jego dolę... a mieszczaństwo słabe i trwożliwe nie było zdolne do żadnego czynu. Rozpacz też była powszechna, zwątpiono o wszystkim, o całej przyszłości; czekano tylko prędkiego końca, a tymczasem pogrążano się w bezmyślnych zabawach i zupełnym zobojętnieniu.

W kraju też poza spiskami tajemnymi niemożliwy był żaden ruch, żaden rozwój myśli. Kto chciał otwarcie pisać i mówić musiał uciekać zagranicę, gdzie od 1831 roku zgromadziła się olbrzymia emigracja i dokąd też wkrótce przeniosło się całe życie umysłowe narodu. I tam jednak usposobienie tułaczów nie było lepsze; zawiedzeni w nadziejach na bliską poprawę swego losu, rozgoryczeni niedawną klęską, zwalający winę jedni na drugich za błędy popełnione, a przedewszystkim bezsilni wobec ówczesnego strasznego ucisku narodowego w kraju, żarci tęsknotą do rodzinnych pól rozległych i borów szumiących, emigranci przeważnie wpadali w rozpacz zupełną.

"O Boże litościwy— pisał w tym czasie jeden z ministrów i wodzów narodu podczas wojny 1831 r. — czyż nie dasz się przebłagać modlitwom naszym i nie dopuścisz, abyśmy się za krzywdy nasze pomścili? Jeżeli taką jest wola Twoja, jeżeli z niezmiennych wyroków Twoich nie miał by się odrodzić naród nasz... Boże, spuść wieczną pomrokę na oczy moje..."

Tak się modlili najpobożniejsi... inni zawiązywali spiski po całej Europie, biegli walczyć za wolność po wszystkich częściach świata lub wracali do kraju, aby tam konspirować jako nielegalni emisarjusze, i wśród przygotowań do nowego powstania zawisnąć na szubinicy...

Ażeby w tak ciężkich warunkach życia nie zginąć, musiał naród nasz znaleść sobie jakieś potężne ideały, coby mu nowe życie, nowe nadzieje wskazały, dodały sił do walk nowych i oparcia się strasznemu uciskowi. Ideały

takie dali wówczas narodowi poeci, a na ich czoło wysunęła się tak zw. Trójca wieszczów polskich: Adam Mickiewicz, Zygmunt Krasiński i Juljusz Słowacki.

Mickiewicz był to wieszcz i działacz zarazem. Jeszcze będąc studentem, organizował wśród kolegów stowarzyszenia, mające na celu odrodzenie narodu, przez zwalczanie przesądów zaśniedziałych, zdemokratyzowanie się narodu. Obdarzony gienjuszem poetyckim, Mickiewicz poezję polską ożywił wprowadzeniem do niej na wielką skalę życia i podań ludowych. Uwięziony i zesłany do Rosji, napisał tam silny poemat "Konrad Wallenrod", gdzie bohater, walcząc o wolność ojczyzny, wszystko — własną cześć i dobrą pamięć w historji — stawia na kartę dla zwalczenia wroga. Wreszcie zagranicą już w poemacie "Dziady" (część III) dał narodowi piękną ewangielję patrjotyzmu odnowionego. Później w największym swym poemacie "Pan Tadeusz" prześlicznie odmalował staroszlachecką Polskę, "ostatnich" szlachciców, żegnając ją nazawsze, a sam rzucił się w wir działalności publicznej. Wykładał, redagował, wraz z ówczesnemi socjalistami francuskiemi, organ międzynarodowej demokracji rewolucyjnej "Trybuna ludów", podczas rewolucji 1848 r. organizował legjony, napisał słynny manifest legjonu polskiego w Rzymie, będący jednym z przejawów pierwotnego socjalizmu naszego i wreszcie podczas wojny z Rosją, t. zw. sewastopolskiej, organizując znów legjony dla wkroczenia w granice dawnej Rzeczypospolitej, zmarł w obozie w Turcji.

Zygmunt Krasiński, z pochodzenia arystokrata, syn ojca znanego z serwilizmu, sam jednak patrjota gorący, niezwykle wykształcony i szlachetny, chciał dać narodowi swemu nowy program życia, oparty na religijności i miłości wzajemnej. Obserwując Europę Zachodnią, widział on tam straszny ucisk mas robotniczych, oraz sprzedajność i chciwość burżuazji i w swoim poemacie "Niedo-

kończony poemat" dał potężny, a śliczny obraz tego "Piekła ziemskiego". Polskę cierpiącą Krasiński nazywał czyśćcem ziemskim i wierzył, że kiedyś po oczyszczeniu się z grzechów i po odpokutowaniu za winy wszystkich narodów, naród nasz, zawsze wolność miłujący, znowu wolnym będzie i wolność tę wszystkim narodom przyniesie. Choć sam arystokrata, Krasiński widział całe zepsucie i zgniliznę swej klasy. W swoim poemacie "Nieboska komedja" — dał on obraz walki w Polsce arystokracji z demokratami, którym przewodzą — mądry potężny Pankracy i szlachetny Leonard. Nie znając zupełnie ludu i nie rozumiejąc jego dążności, Krasiński przedstawił lud jako potęgę niszczącą. Sam Pankracy, zwycięzca arystokracji, upada, ujrzawszy Chrystusa — symbol miłości. Miłość też ta ma, zdaniem Krasińskiego, dać zwycięstwo Polsce.

Słowacki wyodrębnił się z pośród swego pokolenia. Niesłychanie wrażliwy na wszystko, co otaczało go, wszystko chciał pięknym swym wierszem wyśpiewać. Chciał on — jak sam pisze:

... aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa,
A czasem był jak piorun jasny prędki,
A czasem smutny, jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.

A że fantazję miał niezwykle bogatą, mnóstwo więc rzeczy pięknych Słowacki napisał. Na rozbiór szczegółowy dzieł jego brak miejsca. Czytelnicy, ciekawi z nim bliżej się zapoznać, muszą poezję tego wielkiego poety przeczytać wraz z pisanemi o nich przez krytyków-znawców dziełami. Poprzestaniemi tylko na zaznaczeniu wybitniejszych utworów wieszcza.

Świat bajek ludowych i podań posłużył poecie za materjał do napisania cudownej baśni zatytułowanej "Balladyna", gdzie czytelnik ma przed sobą pomieszane podaniowe postacie przeszłości polskiej i różne boginki, o których lud opowiada w bajkach. A wszystko pisane pięknym wierszem jak naprz. opowiadanie boginki Skierki o zbliżającej się krolowej jeziora Gopła, rusałce Goplanie.

Ach, patrz, na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,
Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie
I patrz, patrz, lekka i gibka...
Skoczyła z wody jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przezroczu
Brylantowe iskry skrzesza.

Innych znów podań z prastarych dziejów naszych użył poeta za temat drugiego swojego utworu "Lilla Weneda", w którym mamy opowiedzianą straszliwą walkę plemienia Wenedów z Lechitami najeźdzcami. Wenedzi, oddawna żyjąc w spokoju, pełni poezji, odwykli od oręża i giną w walce, broniąc się jednak do ostatka pod wodzą kapłanki pogańskiej Rozy Wenedy i starego króla-harfiarza Derwida, wybawionego z niewoli poświęceniem córki, pięknej i łagodnej Lilli Wenedy. Piękna natura szwajcarska znalazła swój obraz w poemacie "W Szwajcarji", jednym z najładniejszych. Z podróży do Egiptu i Palestyny przywiózł Słowacki całe mnóstwo utworów jak "Podróż na Wschód", "Ojciec zadżumionych", opowiadający o Arabie, co wśród dżumy stracił całą swoją

rodzinę i w końcu z rezygnacją prawdziwego syna Wschodu modli się do Boga:

Bądźże mi ty pochwalony Alla
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi co groby wywraca,
Zarazą, która mi dzieci wytraca,
I bierze syny z łona rodzicielki.
O Allach! Akbar Allach! jesteś wielki.

Wrażliwy na cierpienia narodu swojego, Słowacki pięknie w poemacie, pisanych prozą, p. t. "Anhelli" opowiedział o cierpieniach wygnańców polskich na Syberji, skąd tylko lud ich uwolnić może, a w wierszu: "Rozmowa z matką Mokryną" opowiedział prześladowanie unitów.

Największe utwory Słowackiego, których jednak dokończyć za życia nie zdołał, są poematy: "Beniowski" i "Król Duch". W "Beniowskim" Słowacki, opowiadając przygody konfederata barskiego *), który później zesłany na Kamczatkę, zbuntował katorżników i osiedleńców, zdołał uciec i został królem dzikiego ludu na wyspie Madagaskarze, ciągle przerywa opowiadanie swoje i wyraża wiele bardzo pięknych i trafnych myśli. Poemat ten, pisany bardzo gładkim i pięknym wierszem, przez każdego z przyjemnością jest czytany. Trudniejszym do czytania a często niezrozumiałym dla trudnego stylu jest drugi z tych poematów. "Król Duch". Słowacki przed-

* Konfederacją barską nazywało się powstanie szlachty polskiej przeciwko Rosji, która rozporządzała się w Polsce jeszcze wówczas formalnie niepodległej bez żadnego skrupułu. Konfederaci prowadzili w ciągu lat 4 (1768 — 1772 partyzantkę, w końcu ulegli przewadze wojsk rosyjskich.

stawia w nim, jak to fantastyczna, potężna istota, uosabiająca ducha całego, wciela się w postacie historycznych i podaniowych bohaterów Polski. Różni tam występują bohaterowie: potężny tyran Popiel, co gnębi lud srodze i nie boi się nikogo, jak sam powiada:

Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak, jak w tarczę z miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć
I kolumnami praw na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady
Aż się pokażę Bóg w niebiosach — blady.

Później — po strasznym Popielu — zjawia się dobry Piast i t. d. "Króla Ducha" jednak nie wykończył i nie obrobił poeta, z wielką dla literatury szkodą.

Wśród swoich współczesnych Słowacki nie miał przyjaciół i wielbicieli wielu. Wrażliwa jego dusza odczuwała wiele wad i ułomności, których nie widzeili, a często i nie chcieli widzieć emigranci. Patrzyli oni na Polskę, jako na świętość, której krytykować nie wolno. W przeszłości polskiej Słowacki czcił wszystko silne i uczciwie patrjotyczne i malował potężne postacie szlachty, rycerzy w dramatach swoich: "Horsztyński", "Sen srebrny Salomei", "Mazepa" i t. d., samą zaś szlachetczyznę potępiał. Gdy wszyscy starali się pokolenie, co wywołało powstanie w 1830 r., przedstawić jako bohaterów bez skazy, Słowacki w silnym swoim poemacie "Kordjan" odmalowuje je tak, jak rzeczywiście było: słabych idealistów marzycieli. Kordjan, wódz młodzieży, nie mogąc ogółu poruszyć, chce sam dokonać królob ójstwa, lecz w ostatniej chwili traci odwagę, dostaje się w moc straży i zostaje rozstrzelany. Wodzów powstania w tymże poemacie Słowacki przedstawia jako marnych frazesowiczów, stworzonych przez djabłów dla sparaliżowania sił narodu.

W przeszłości polskiej Słowacki widzi wielkie czyny, lecz i rzeczy, których się wstydzić trzeba:

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce skruszy wstyd w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem,
Nie — pierwej skonam niż tam iść—z łańcuchem
Na Termopilach — jakążbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą?
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: ilu was było?

— mówi poeta, napomykając na to, że polska szlachta oddała wolność Ojczyzny po bardzo niedługiej walce — nie tak, jak Grecy pod Termopilami.

Albo w innym miejscu:

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym,
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym!
. . . .
Zrzuć do ostatka te płachaty ohydne
Tę Dejaniry palącą koszulę

— mówi Słowacki, wzywając naród do otrząśnięcia się z powijaków szlachetczyzny i przesądów starych.

Odrodzenie narodu Słowacki widział tylko w demokratyzmie. Chciał też i sam być poetą ludowym — całą swą poezję ludowi oddawał.

Lud polski — mówił poeta —

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał.
Kiedy kląć zechce, przezmnie kląć będzie...
Gdy zechce płonąć, ja będę rozgrzewał,

Powiodę tam, gdzie bóg, w bezmiar... wszędzie,
W me imię będzie krew i łzy wylewał...
Moja chorągiew nigdy go nie zdradzi;
W dzień, jako słońce, w noc jak żar prowadzi...

Jako demokrata też, Słowacki wystąpił przeciwko Zygmuntowi Krasińskiemu, który oburzył się na propagandę demokratyczną między ludem, bojąc się, aby lud nie ruszył na dwory szlacheckie.

... bój się —powiada Krasińskiemu Słowacki —
Polski lud, to ojciec twój.
Zeń, jak z cierniowego krzaka
Gotów znowu bóg wybuchnąć,
Z wichru uwić twarz i lice,
I na ciebie, jak na świecę
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć.

. . . .

Widzialne są światła boże,
Ognie, które szepczą; jestem.
Więc się bój — bo duch się wdziera,
I podważa miasta, wieże,
Słaby — mówisz, rzeź wybiera —
A czy wiesz, co on wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet, wichry i płomienie,
W których drży król, matka roni?!..
Działa, hufce, wozy, konie,
Ogień pali, ziemie chłonie.
A nikt z mogił nie korzysta
Jeno — wszczynający ruch
Wieczny rewolucjonista —
Pod mękę ciał leżący duch!

Chcąc też, ażeby ten duch — wieczny rewolucjonista był odczuty przez masy ludowe, Słowacki wołał do pracy nad oświatą i uświadomieniem ludu. W wierszu "Testament mój" na krótko przed śmiercią pisał:

Zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec,
A kiedy trzeba, niech na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, ręką boga rzucane na szaniec.

Słusznie się też ze strony ludu uświadomionego należy cześć temu poecie demokracji polskiej.

Za życia smutno było poecie i nieuznawany długo tułacz tęsknił do kraju w ślicznym wierszu swoim "Smutno mi Boże" mówił:

Żem był jak pielgrzym, co się drodze trudzi
Przy blasku gromu,
Że nie wiem, gdzie, się w mogilę położę
Smutno mi Boże...
Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nieoddane kolumnowym czołom,
Alem jest, jako człowiek, co zazdrości,
Mogił... popiołom...

W innym też wierszu zwracał się z rzewną prośbą do Polski tułacz-poeta w imieniu braci-tułaczy:

Polsko ty moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy, wspomnij ty o nas, o wspomnij!
Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze, i piorun, co błyska.
A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje od boga przeklęta,
A nie zapomnisz ty o nas, o święta!

Cześć dla Słowackiego winniśmy nieść jeszcze i dla tego, że przez życie całe był on wzorem człowieka o mocnych przekonaniach. Demokrata z zasad, w roku 1848 na pierwszy odgłos rewolucji w Poznańskim, pośpieszył tam, a gdy ogłoszono amnestję i dużo emigrantów wracało ułaskawionych, Słowacki pozostał na obczyźnie, przesławszy matce, która go bardzo kochała i wzywała do powrotu, następujący wiersz piękny:

Zadrży Ci nieraz serce, miła Matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych,
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
Tak uparte wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, że wróceniem moim lat bym Ci przysporzył,
Wszakże, gdy się spytają, czy Twój syn powraca?
Mów:—syn Twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz — nie idzie, oczy tylko zwraca...

Oczy zwraca ku Tobie!.. więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem Tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrożę,
Bo woli zamiast hańby pić czarę rozpaczy!

Nie wrócił też Słowacki do Ojczyzny i zmarł wkrótce na tułaczce.

.. ..

Wobec zbliżającego się jubileuszu, między innymi wznowiona została myśl — poruszona już lat kilkanaście temu przez młodzież — sprowadzenia zwłok poety do kraju i urządzenia im pogrzebu narodowego.

Myśl tę popierać gorąco należy. Pisma obecnie spierają się, gdzie zwłoki poety złożyć: czy w Krakowie, czy też w Warszawie. Naszym zdaniem dwuch zdań być nie może. Krakowski Wawel jest jakby świątynią przeszłości narodowej... leży tam Kościuszko, leży mocarz poezji

polskiej — Mickiewicz. Ten ostatni to jeden z Trójcy wieszczów, co dała narodowi nowe ideały, dodała ducha dla zniesienia ciężkiej niewoli, po straszliwym pogromie Polski starej — szlacheckiej. Dzięki tym wieszczom rozbitki dawnej Polski nie upadli na duchu i byli w stanie przetrwać i przechować ducha narodowego, i hasła wolności, do chwili, aż Polska mogła stawać się ludową i robotniczą.

Dziś już naród nasz zrzuca z siebie ową, jak mówił Słowacki, "Dejaniry palącą koszulę" przesądów i szlachetczyzny. W całej potędze wynurza się naród polski miljonowy, masy pracujące, którym narodowości, ani zamiłowania wolności nikt nie wydrze. Lecz zanim ta potęga obudziła się, zanim naród mocno na swej podstawie ludowej się oparł, ciężkie mijały chwile i lata. W tych ciężkich czasach, gdy sama polskość zatracała się powoli, gdy rozpacz ogarniała dusze narodu — hasłem bojowym, głosem, wzywającym do wytrwania, była poezja, były ideje, przez Trójcę wieszczów naszych głoszone. Wieszczom tym Mickiewiczowi, Krasińskiemu i Słowackiemu naród nasz winien wiele. Mickiewicz już leży w Panteonie przeszłości naszej — na Wawelu. W roku zaś przyszłym wypada setna rocznica urodzin Słowackiego, a pięćdziesiąta śmierci Krasińskiego. W roku też tym, jako ostatnie pożegnanie swoim wieszczom, którzy dziś już są tylko przeszłością, tylko wspomnieniem, lecz kiedyś, w chwili rozbicia i bezwładu wodzami byli — naród powinien prochy ich przenieść na Wawel i wspólnie z Mickiewiczem w jednej pogrzebać krypcie. A pogrzeb ich musi być olbrzymią manifestacją narodową — hołdem przez nową Polskę ludową złożonym najświetlejszym duchom dawnej Polski, co tę dawną Polskę na obecną przerobić chcieli i dużo się do jej przerobienia przyczynili.

J. Grabiec.

Bolesław Limanowski.

POWSTANIE LUDU POLSKIEGO W 1830 ROKU.

Lat temu 78 w noc listopadową 29go, wybuchło w Warszawie powstanie przeciwko nieznośnym i dokuczliwym rządom moskiewskim. Wówczas Królestwo Polskie miało wprawdzie własną konstytucję, własne wojsko, własny rząd. Lecz król polski, który był jednocześnie carem moskiewskim, gwałcił tę konstytucję. Brat cara, Konstanty był naczelnym wodzem wojska polskiego i po tyrańsku je dręczył, do rządu zaś powsadzano wsteczników i zauszników moskiewskich, którzy na sposób moskiewski rządzili w kraju. Zabrakło wreszcie Polakom cierpliwości i kiedy wybuchła we Francji rewolucja, zawrzało w narodzie pragnienie wolności i warszawska ludność wyrzucała Moskali ze swego miasta. Wojsko polskie przyłączyło się do rewolucji i z całego kraju powypędzano żołdaków i zauszników moskiewskich. Tak się odbyła szybko rewolucja w całym Królestwie Polskim.

Co jednak dalej trzeba było robić? Gdyby król polski był tylko królem polskim i siedział w Warszawie, to możnaby uważać sprawę rewolucyjną za ukończoną, przynajmniej na czas dłuższy, zanimby naród nie wzmógł się znacznie w siły. Lecz na nieszczęście król polski był także carem moskiewskim, siedział daleko w Petersburgu i miał daleko większe od polskiego, wojsko moskiewskie. Trzeba się więc było przygotować do rozprawy z tym carem.

Wówczas jeszcze niestety, nie było ani wśród robotników, ani wśród chłopów takiej partji rewolucyjnej, jaka już obecnie istnieje. Rządem więc rewolucyjnym owładnęła szlachta, która chciała zachować dawne swoje panowanie i z tego powodu obawiała się powoływać do

pomocy wszystkich chłopów, albowiem wówczas musiałaby koniecznie znieść pańszczyznę i dać także chłopom pewne polityczne prawa. Widziała jednak szlachta, że jeżeli przyjdzie do wojny, to car, mając o wiele większe wojsko, pokona rewolucję i później mścić się będzie okrutnie. Postanowiono więc unikać wojny, a z carem układać się, jako z królem polskim, ażeby uszanował nadaną konstytucję i nie nasyłał Moskali do rządzenia Królestwem.

Byli jednak ludzie rewolucyjnego usposobienia, co pojmowali dobrze, że postępując tą drogą, musi wszystko źle się skończyć. W rewolucji czasu nie można tracić, trzeba szybko i śmiało działać. Kuć żelazo póki gorące, a nie pozwalać mu ostygać. Takim człowiekiem patrzącym daleko był Maurycy Mochnacki. Radził on co najprędzej zgromadzić wojsko polskie i nie zwlekając, wkroczyć do Litwy. Tam znajdował się korpus litewski, złożony z Litwinów i Białorusinów, którzy nienawidzili rządów moskiewskich i chętnie połączyliby się z Polakami, by wywalczyć sobie wolność. W ten sposób mielibyśma odrazu większe wojsko i zająwszy cały kraj litewsko-białoruski, zrównalibyśmy się więcej siłą z narodem moskiewskim.

Drugim takim mężem, co jasno patrzał w przyszłość, był Jan Olrych Szaniecki. Mówił on do szlachty: układy z carem, to daremna strata czasu; nie zgodzi się on na żadne ustępstwa i trzeba będzie z nim się bić; sama jednak z wojskiem nie zdolasz oprzeć się carowi. Trzeba więc — radził — zwołać coprędzej sejm, ogłosić natychmiast zniesienie pańszczyzny, przyznać włościanom prawo do ziemi, nadać im prawa obywatelskie i powołać całą ludność chłopską do obrony ojczyzny, a wtedy damy sobie radę i z siłą moskiewską.

Niestety, nie usłuchano ani jednego ani drugiego. A były to rady zbawienne. Korpus litewski czekał tylko,

na wkroczenie polskiego wojska, aby się z nim połączyć; ludność chłopska litewska i białoruska oczekiwała wolności, która miała nadejść dla niej z Polski. Z zapałem powitanoby dyktatora Chłopickiego, gdyby on na czele wojska polskiego stanąwszy w stolicy Litwy, ogłosił był zniesienie poddaństwa i pańszczyzny, nadanie ziemi włościanom i przyznanie im praw obywatelskich. Mając za sobą cały lud od Dźwiny po Niemen, mógłby bez obawy mierzyć się z carem. Wieść o zniesieniu poddaństwa, ogłoszonym w Wilnie, pobiegłaby za Dźwinę i tam lud tęsknie wyczekiwał wolności i powstanie polskie mogłoby znaleść i tam sprzymierzeńców.

Gienerał Chłopicki, który objął nieograniczoną władzę, jako dyktator nad powstaniem polskim, był dzielnym żołnierzem, lecz nie miał w sobie ducha rewolucyjnego Kościuszki i nie odważył się na ten czyn śmiały, któryby go uczynił jednym z największych bohaterów i dobroczyńców ludzkości. Oswobodziłby Polskę i Litwę, oswobodziłby miljony chłopów i zapewniłby całej Europie większą swobodę w dążeniu do wolności i równości powszechnej.

W pierwszych dniach lutego 1831 r. wkroczyła liczna armja rosyjska w granice ówczesnego Królestwa Polskiego i rozpoczęła się wojna pomiędzy carem moskiewskim i narodem polskim.

Wojsko polskie, które stawiło czoło wkraczającemu wrogowi, było prawie o połowę mniej liczne, ale było ono dzielne, gorąco kochające ojczyznę. "Daję tu przed Bogiem i ludźmi — powiada w swoich pamiętnikach jeden z ówczesnych oficerów — świadectwo prawdzie, że przedewszystkim żołnierze szeregowi i niższych stopni męstwem zasłużyli się Ojczyźnie." Oni to "z rękami czarnymi od pługa" — bo byli to nowozaciężni chłopi — w pierwszej bitwie z Moskalami pod Stoczkiem wzięli 11 dział i kilkuset żołnierzy do niewoli. Zawdzięczamy też

męstwu żołnierzy, że wielka i mordercza bitwa pod Grochowem zmusiła naczelnego wodza wojsk rosyjskich do wstrzymania się od kroków wojennych, aż nie nadejdą nowe posiłki.

Mieliśmy i dzielnych gienerałów. Takimi byli: Dwernicki, który dowodził w bitwie pod Stoczkiem — wziął 11 dział i kilkuset żołnierzy do niewoli: Prądzyński, gienjalny strategik, Bem znakokomity wódz i artylerzysta; Umiński, Chłapowski i wielu innych. Gienerał Skrzynecki, który objął po Chłopickim naczelne dowództwo nad wojskiem, odznaczył się walecznością w bitwie pod Grochowem, lecz nie miał potrzebnego uzdolnienia, aby być wodzem naczelnym, najwięcej jednak tym grzeszył, że więcej zajmował się dyplomacją, aniżeli kierowaniem wojny. Opuścił z tego powodu bardzo ważną chwilę, kiedy wczasie przeprawy naczelnego wodza wojska rosyjskiego, Paszkiewicza przez Wisłę, mógł mu zadać straszną klęskę. Henryk Dembiński, który się wsławił swym odwrotem z Litwy, objąwszy po Skrzyneckim naczelne dowództwo nad wojskiem, też więcej zajmował się polityką, aniżeli wojną. Było to nasze wielkie nieszczęście. że gienerałowie zamiast zajmować się tylko sprawą wojenną, chcieli jeszcze kierować sprawami dyplomatycznymi. Trzeba jeszcze wspomnieć o Karolu Różyckim, który wykonał znakomity pochód na Rusi i o bohaterce litewskiej, Emilji Platerównie.

Paszkiewicz pierwszego dnia września stanął pod Warszawą. Naczelnym wodzem wojska polskiego był wówczas gienerał Krukowiecki. Gienerał Bem przysięgał w późniejszych czasach, że gdyby Krukowiecki całą swoją uwagę skierował nie na ugody z Moskalami, ale na obronę Warszawy, to stolica nie byłaby zdobytą i Paszkiewicz ze swoim wojskiem znalazłby grób pod jej murami.

Kapitulację Warszawy podpisano 8go września, a w pierwszych dniach października resztki wojska polskiego

przeszły za granicę. Wojna więc trwała ośm miesięcy. Przegraliśmy sprawę nie wskutek braku siły, ale wskutek braku ducha rewolucyjnego. Gdyby u steru powstania stanęła nie szlachta, która nie wierzyła we własne siły i obawiała się ruchu rewolucyjnego,ale sam lud pracujący robotnicy i chłopi, objęli kierownictwo nad całą sprawą, to inaczej poszłoby wszystko i Polska dzisiaj byłaby już wolna.

Robotnicy i chłopi powinni to dobrze wziąć na uwagę. Chcąc jednak objąć kierownictwo nad sprawą ogólną, trzeba się przygotować do tego, trzeba się oświecać i organizować. Lud pracujący jest najliczniejszą i najważniejszą częścią narodu, a skoro przez oświatę uświadomi to sobie, a przez organizację zdobędzie siłę i wpływ, wówczas nie da się innym kierować, ale sam nadawać będzie kierunek sprawie ogólnej, tak, ażeby z tego była korzyść dla całego narodu, a nie dla małej tylko jego części.

———o———

W krainie, którą cary
Ciemiężą już lat sto.
Żołdackich kul ofiary,
Zbroczyły swoją krwią
Bruk miasta i pól obszary.
Na bój o wolność śmiały
Robotnik polski wstał,
I trupy już zasłały —
Zasłały stosy ciał
To krwawe pole chwały.
Nad grobem ich żałośnie,
Łka dzisiaj cały kraj.
Lecz z mogił ich o Wiośnie,
Gdy błyśnie ludów Maj,
Wolności kwiat wyrośnie.

Adam Mickiewicz.

ODA DO MŁODOŚCI.

. . . . . .

Bez serc, bez ducha, — to szkieletów ludy:
Młodości! podaj mi skrzydła!
Niech nad martwym wzlecę światem
W rajską dziedzinę ułudy,
Kędy zapał tworzy cudy,
Nowości potrząsa kwiatem
I obleka nadzieję w złote malowidła!...

Niechaj, kogo wiek zamroczy,
Chyląc ku ziemi poradlone czoło,
Takie widzi świata koło,
Jakie tępemi zakreśla oczy.

Młodości, ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij od końca do końca.

Patrz na dół! Kędy wieczna mgła zaciemia
Obszar gnuśności zalany odmętem:
To ziemia!...
Patrz, jak nad jej wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie,
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem,
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali.
A wtym, jak bańka prysnął o szmat głazu!...
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Młodości, tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę,
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

Razem młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!
Jednością silni, rozumni szałem,
Razem młodzi przyjaciele!
I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu.
Razem młodzi przyjaciele!
Choć droga stroma i ślizka,
Gwałt i słabość bronią wchodu:
Gwałt niech się gwałtem odciska,
A ze słabością łamać uczmy się za młodu!

Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze,
Młodzieńcem — zdusi Centaury,
Piekłu ofiarę wydrze,
Do nieba pójdzie po laury!
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga,
Łam, czego rozum nie złamie!
Młodości! orla twych lotów potęga,
A jako piorun twe ramię!
Hej! ramię do ramienia! Spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!...
Dalej z posad bryło świata,
Nowymi cię pchniemy tory,
Aż opleśniałej pozbywszy się kory
Zielone przypomnisz lata.

A jako w krajach zamętu i nocy
Skłóconych żywiołów waśnią,
Jednym: "stań się" z bożej mocy
Świat rzeczy stanął na zrębie,
Szumią wichry, cieką głębie,
A gwiazdy błękit rozjaśnią,

W krajach ludzkości jeszcze noc głucha...
Żywioły chęci jeszcze są w wojnie,
Oto miłość ogniem ziomie,
Wyjdzie z zamętu świat ducha!
Młodość go pocznie na swoim łonie,
A przyjaźń wieczne skojarzy spójnie.
Pryskają nieczułe lody,
I przesądy światło ćmiące,
Zbawienia za tobą słońce!
Witaj jutrzenko swobody,

———o———

Stefan Żeromski.

SEN O SZPADZIE.

Kiedy oficer japoński, skazany na rozstrzelanie przez cudzoziemczy sąd polowy za służbę dla swego kraju, był zapytany przed egzekucją, co chce uczynić ze znalezionymi przy nim pieniądzmi i czy nie jest to z jego wolą zgodne, żeby te pieniądze jego dzieciom odesłać — rzekł: pieniądze przeznaczam na rzecz międzynarodowej instytucji Czerwonego Krzyża, a o los dzieci moich nie mam

potrzeby się troskać, gdyż po mej śmierci mieć je będzie w swojej pieczy — Mikado.

Usłyszawszy tę prostą odpowiedź, wzdrygnął się w duchu świat znikczemniały, tym większym zdjęty zachwytem, że japońska sprawą była wygraną.

Po za tobą, żołnierzu polski, gdy samotny na szubienicy zawisasz, — gdy lecisz w krwawy skazańca rów, z sercem zestrzelanym od kul żołdackich, — gdy dogasasz powolnym straceniem w stepie Sybiru — nie powiewa sztandar dalekiej potęgi. Po za tobą niema nic. Za tobą jest tylko dół wykopany na miarę twojego trupa. Przed tobą stoją armje. Twoich dzieci nie nakarmi, gdy skonasz, niczyja miłość. Wyprą się ciebie ziomkowie, zapomną współmieszkańcy, ponieważ w sercu ich nie trwa długo uczucie, a myśl, jak dawno — dawno wykryto, nie trwa godziny. To też dzieci twe przyjmie rynsztok, schronieniem będzie im — jako się już przydarzyło, — kloaka, a nożowiec, skoro podrosną, będzie im mistrzem. Świat blizki i świat daleki nie wsłucha się w rapsod twojego skonu z zachwytem, gdyż nie jest twoja sprawa wygraną!

To też twe bohaterstwo wyższe jest, niźli japońskie! Przeciwko tobie ze szeregami żołdaków — jest wszystko. Niechęć, trwoga, nienawiść, wrzaski dziedziców, bicie we dzwony fabrykantów, tajne intrygi tchórzów i ciemna niewiedza nędzy. Przerażone oczy narodowej samowoli spoglądają na ciebie ze szpar, ze szczelin, zza węgłów i z dymników. Nienawiść wszystkich, komu niepotrzebna jest wspaniałość duszy, moc, nieustraszoność wytężonego ramienia, zdeptanie za cenę śmierci gronostajów toporami — zmawia się na ciebie z wypróbowanemi doktrynami złajdaczałej filisterji, wzywa na moc spryt i wymowę ścierwa dziennikarskiego i mrok, zalegający niziny. W trop twoich męczeńskich kroków, które stawiasz prze-

biegle, jak lis, cicho, jak widmo, idzie zbrodniarz, naśladujący twój giest i — imię.

Twoja dola — to konać za święte ideje, a konać bez ostatniej pociechy mężnego człowieka: — bez sławy. Ale ty nie dla sławy wyszedłeś! Posłałeś siebie sam, ażeby świat, wbrew woli świata, wydrzeć z pod skinień berła nocy. Twoje zadanie — to niweczyć przemoc człowieka nad człowiekiem, z pod męki ciał wydobyć ducha ludzkiego, osadzić wśród ludzi miłość i prawo do szczęścia. Dlatego wyzwałeś na rękę — łuk i koronę świata. Więc obok męczeńskiego twojego słupa dla tym większego urągowiska stawiają słupy — łotrów. Wyszedłeś w najciemniejszą, jesienną noc, gdy huczał wicher i bił deszcz, a my wszyscy, dwudziestomiljonowy naród spaliśmy w swych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych kamiennym snem niewolników. Wyszedłeś, jak przemytnik, obnażony do pasa. Na plecach dźwigałeś składowe części drukarni. Byłeś obładowany pismami, zwiastującymi wyzwolenie ciał i duchów. W lewej ręce trzymałeś żerdź, którą w ciemności szukałeś obieszczyka, strzegącego granic ziemi, — w prawej niosłeś rewolwer, gotowy do strzału. Tak przebywałeś granice rzeki. Szedłeś w kraj boso i krwawiąc nogi. Tej to nocy przyniesiona została Niepodległość do tego kraju nędzarzy ducha, popychanych pięścią obcego żołdaka. Tej też nocy przyniesiona została deklaracja praw świętego Proletarjusza, która zdeptała przemoc bogaczów. Przyniosłeś wtedy bezcenne zwitki polskiego zakonu od zaklęsłych emigranckich mogił. Przyniosłeś "drugą strunę" zerwaną z lutni nieśmiertelnych. Stąpiwszy na ziemię rodzoną, poszedłeś za jękiem ludzkim. Było ci drogowskazem stękanie pracującego człowieka. Ci, o których nie wiedziała Ojczyzna, ci, których trudem pasł się świat, znalezieni zostali przez ciebie, podźwignięci, wezwani i złączeni w towarzyski obóz bojowników o wolność.

Któż dziś policzy te czoła płonące, które zastalił mróz Sybiru? Kto przebrnie objęciem przez ogrom tego cierpienia, które zniósł, w kajdanach socjalizm polski? Kto zmierzy długość drogi, którą w śniegach, po grudach i moczarach wygnania wydeptał?

Szarpie dziś jego cześć i jego nieskalany honor polski dziennikarz, który z zadeptywania ogniów ideji żyje. Naśladując siepaczów, łączy szlachetny cień żołnierza z widmem łotra, który po śladach lezie i chwyta łup. Tęsknym echem, żołnierzu, odbijają się kroki twoje w tajniach ludu, jak echo odbija się w lesie. Jak echo w mrokach lasu — zamierają. Lecz ty sam jesteś ludem i krew twoja w lud wsiąka. Na wystygłych kałużach krwi, w dziedziczych tajnych wyrastają cudne legiendy, jakich jeszcze Polska nie miała. Budzą się duszach sny o pióropuszu sławy...

Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu! Ona jedna nie zlęknie się twych snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegraną — ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dnie twe i noce, mękę, wysiłek, trud i skon. Złoży ona twą głowę, stłuczoną sołdackiemi kolbami na wezgłowiu z najcudowniejszych wierszy, które dla ciebie jednego wyjmie po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza, gdy go lud łódzki z pospólnego dołu wielekroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę, to jedno, co lud dać może, płaszczem dostojeństwa, utkanym z najcudowniejszych barw sztuki. W twoje ręce skostniałe i dopiero w śmierci bezsilne włoży złoty swój sen, sen tylu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie.

———o———

O WEZUWJUSZU I INNYCH WULKANACH.

Napisał Bohdan Djakowski.

(Co to są wulkany? Wezuwjusz i główniejsze jego wybuchy. Ilość wulkanów i częstość wybuchów. Głośniejsze wybuchy po za Europą. Krakatau, Loa, Mont-Pele. Poglądy na działalność wlkanów).

Wulkany czyli góry ogniowe różnią się od innych gór tym, że od czasu do czasu wybuchają, to jest wylewają ze siebie rozpaloną, gęstą, ognisto-ciekłą masę, noszącą nazwę lawy. Spływa ona po ich stokach i powoli zastyga w twardą masę kamienistą albo szklistą, przypominającą szlakę hutniczą. Biada ludziom, których zaskoczy ten ognisty potok: jeśli nie zdążyli oni uciec zawczasu, czeka ich tam śmierć niechybna!

Obok lawy z otworu na szczycie czyli kratem wulkan wyrzuca mnóstwo pary wodnej oraz drobno sproszkowanego pyłu, zwanego popiołem. Popiół ten zasypuje okoliczne miejscowości, grzebiąc pod sobą nieraz całe wsi, a nawet i miasta. A para wodna, skraplając się i spadając na ziemię, miesza się z tym popiołem i wytwarza błotniste strugi, zalewając wszystko, co spotkają na drodze.

Dodajmy do tego huk, jakby grzmotów podziemnych, oraz trzęsienie ziemi, towarzyszące zwykle wybuchom, a łatwo zrozumiemy, że zjawisko to należy do najgroźniejszych w przyrodzie.

Kraj nasz na szczęście nie posiada wulkanów, a i w Europie znajduje się ich nie wiele. Obfitują w nie zato inne części świata.

Z europejskich najgłośniejszym jest Wezuwjusz, wulkan, położony we Włoszech, niedaleko miasta Neapolu. Wezuwjusz, jak wszystkie wulkany zresztą, nie wybu-

cha bez ustanku, ale z przerwami, a przerwy te wynoszą nieraz po kilka set lat.

Całą ostatnią ćwierć wieku ubiegłego Wezuwjusz był zupełnie spokojny; aż nagle w pierwszych dniach kwietnia 1906 r., cała Europa została wstrząśnięta wieścią o nowym, niezwykle silnym wybuchu Wezuwjusza, który obrócił w perzynę kilka miejscowości w najbliższej okolicy, pozbawił dachu tysiące ludzi, a pewną ich liczbę zagrzebał nawet w gruzach zniszczonych wsi i miasteczek.

Nie pierwszy to i nie ostatni zapewne wybuch Wezuwjusza: niejedno zniszczenie owoców ludzkiej pracy i ludzkiego życia zapisano już na jego karb i niejedno wypadnie jeszcze zapisać w dalszej przyszłości. Powinnyby więc ludzie zachowywać się zawsze z pewną nieufnością względem takiej strasznej góry. Że jednak ostatni wybuch gwałtowniejszy zdarzył się w roku 1872, a więc 36 lat temu, zdążono tedy prawie zupełnie zapomnieć już o tym.

Wprawdzie Wezuwjusz przypominał się ciągle: z mniejszymi lub większymi przerwami dymił on i urządzał małe wybuchy, nie dające się zresztą nikomu we znaki, był wciąż czynny, dawał ciągle poznania, że nie wolno go uważać za wygasły, że prawa jego do wybuchów nie są bynajmniej przedawnione. Ale ludzie oswoili się z tą słabiutką jego działalnością i mniemali, że nowy wybuch, jeśli przyjdzie kiedyś, to w dalekiej przyszłości; że nie oni będą jego świadkami i... ofiarami.

Aż przyszedł niespodzianie, jak zresztą prawie wszystkie poprzednie wybuchy, nietylko tego, ale i innych wulkanów. Od czasu słynnej katastrofy z r. 79, która zniszczyła rzymskie miasta Herkulanum i Pompeję, położone u stóp Wezuwjusza, każdy jego wybuch był niespodzianką dla okolicznych mieszkańców. Wulkany bowiem dymią i urządzają małe wybuchy nieraz całymi latami,

bez żadnych groźniejszych następstw, tak, iż ludzie oswajają się z nimi i przestają zwracać na nie uwagi. Specjalnych zaś zwiastunów większego wybuchu nie bywa prawie nigdy.

Wybuch z roku 79 po Chrystusie jest pierwszym, o którym posiadamy pewne historyczne wiadomości. Przedtem widocznie musiała być kilkowiekowa przerwa w działalności wulkanu, gdyż nie znajdujemy wcale wzmianek o wybuchach u dawniejszych pisarzy rzymskich; jeden z uczonych ówczesnych uznał tę górę za wulkan wygasły.

Wybuch z roku 79 poprzedzony był o lat kilkanaście tręsieniami ziemi, które zniszczyły nawet część Pompei, ale miasto odbudowało się wkrótce i o wybuchu nikomu ani się śniło.

Przyszedł on nagle. Rozpoczął się od strasznego trzęsienia ziemi; po nim wzniosła się z krateru olbrzymia chmura, utworzona z białej pary, pomięszanej z kamieniami i popiołami, to jest rozkruszonymi na drobniutki pył cząstkami skał, wyrzucanymi przez wulkan. Od popiołów cała chmura przybrała barwę czarną. Była ona tak olbrzymią, że na znacznej przestrzeni zapanowała zupełna ciemność.

Z chmury lunął ulewny deszcz. Woda, spływająca po stokach, pomieszana z popiołem, utworzyła błotniste potoki, które ogarniały po drodze wszystko i one to właśnie zalały Herkulanum i Pompeję. Błoto otoczyło sobą wszystkie przedmioty i twardniejąc, odtworzyło ich kształty tak dokłodnie, że dziś, wypełniając gipsem pozostałe przestrzenie w tufie (skale powstałej z tego błota), otrzymujemy zupełnie dokładne modele ludzi, którzy padli ofiarą tego wybuchu. Lawy przy tym wybuchu nie było, zdaje się, wcale, albo co najwyżej bardzo niewiele.

Część kamieni, oraz innych produktów wybuchu, spada zawsze na samą górę i tworzy naokoło otworu wybu-

chowego stożek, który dalsza działalność wulkanu powiększa, przez dosypywanie a nawet znosi zupełnie, jeśli nowy wybuch zdarzy się z odpowiednią siłą i bardzo gwałtownie.

Wybuch z roku 79 usypał dzisiejszy stożek, tworzący obecny wierzchołek Wezuwjusza z kraterem. Dawniej krater i stożek były znacznie szersze, ale poprzednie wybuchy musiały nadwerężyć stożek — a w roku 79 ostatecznie zapadła się jego południowo-zachodnia, tworząca rodzaj półkolistego wału, z jednej strony nowego stożka usypanego w tym czasie.

Wał ten nosi nazwę Monte Somma i oddzielony jest głębokim wąwozem, Atrio del Cavallo, od dzisiejszego stożka wybuchowego. Stanowi on znakomitą ochronę dla miejscowości, położonych na północo-wschód od Wezuwjusza, potoki lawy bowiem, wylewające się z krateru, nie mogąc przedostać się przez Monte Somma, muszą płynąć wąwozem i ostatecznie wylewają się na stoki południowe lub zachodnie, w tę właśnie stronę, w której leżały Herkulanum i Pompeja.

Od czasu katastrofy z roku 79, zanotowano kilka większych i znaczną ilość mniejszych wybuchów Wezuwjusza, poprzedzielanych okresami spokoju. Najdłuższa przerwa, bo prawie pięćsetletnia, była między wiekiem XII. a XVII., kiedy cała góra okryła się bujną roślinnością, a nawet sam krater porósł lasem starych dębów i jesionów. Przez cały ten czas Wezuwjusz drzemał, ale wydobywająca się tu i owdzie przez szczeliny para wodna, oraz kałuże słonej lub gorzkiej wody, stanowiły groźne przypomnienie, że potężny wulkan może się obudzić lada chwila!

Jednakże prawie pięćset lat przeszło i bujna zieloność na stokach kazały zupełnie zapomnieć o możliwości wybuchu; tembardziej, że w pierwszej ćwierci wieku XVII. ustały nawet wydechy pary wodnej.

Aż w końcu roku 1631 nadeszła naraz katastrofa: zapowiadały ją na kilka dni przedtem huki podziemne, ale ludzie, ukołysani długoletnią ciszą, nie chcieli wierzyć w możliwość wybuchu.

Nastąpił on 15-go grudnia, kiedy po trzęsieniach ziemi w ciągu nocy, rozłupała się nad ranem, ze strasznym hukiem, południowa część góry, wyrzucając popiół i kamienie. Deszcz popiołów dochodził aż do Dalmacji, a rozpalonne masy, wyrzucane po za Sommę, spaliły doszczętnie miejscowości położone za wałem, jak Ottajana, Palma i inne.

Wylew lawy nastąpił 18-go grudnia, a płynęła ona z taką szybkością, że potoki jej już w godzinę dosięgły morza, niszcząc po drodze miejscowości na stoku zachodnim i południowym: Bosco Trecasa, Torre del' Annunziata, Torre del Greco, Portici, Resini i inne. Trzy tysiące ludzi poniosło śmierć na miejscu.

Odtąd Wezuwjusz jest ciągle czynny. Do bardziej głośnych wybuchów — po wieku XVII. — należy wybuch z r. 1794, kiedy lawa, wylawszy się z krateru o godzinie 11-ej w nocy 15-go czerwca, potokiem, szerokim na 700 metrów (2000 stóp), w ciągu cześciu godzin dosięgła morza, zniszczywszy doszczętnie Torre del Greco, z którego nie pozostało ani śladu. W wodzie jeszcze toczyła się ona gwałtowną falą po masach już zastygłych; morze wrzało naokoło, a ugotowane ryby pokryły jego powierzchnię.

A gdy tak z tej strony lawa siała zniszczenie, wszędzie naokół, aż do 20 czerwca, spływały ze stoków błotne potoki, niszcząc owoce pracy ludzkiej na długie lata. I znów ucierpiały. Bosco, Ottajano, Torre dell' Annunziata i inne miejscowości.

W wieku ubiegłym najznaczniejszym był wybuch w r. 1872. W dniu 24 kwietnia wylał się potok lawy ognistej z krateru do Atrio dell Cavallo. Miał to być tak wspaniały widok, że w nocy, z 25 na 26 kwietnia, mnóstwo

osób udało się nad Atrio, aby podziwiać z bliska to imponujące zjawisko. Ale nagle, między godziną trzecią a czwartą rano, pękł stożek od strony Atrio, wylewając gęsty grad rozpalonych kamieni. Widzowie w Atrio znaleźli się naraz w gęstej chmurze pary, zasypani rozżarzonymi kamieniami, otoczeni lawą. Większaść ich zginęła; niektórzy tylko zdołali się schronić do obserwatorjum na Monte Somma.

Wybuch ten o tyle był mniej groźny od innych, że już w 24 godzin po nim, lawa przestała płynąć i że potoki jej zatrzymały się, nie dosięgłszy wielu miejscowości uprawnych. W ten sposób strumień ów stanął na 426 metrów przed Torre del Greco, które poprzednie wybuchy niszczyły doszcętnie i niejednokrotnie.

Odtąd, aż do roku 1906. Wezuwjusz dawał znać o sobie jedynie słabszemi wybuchami.

Ale zato ten ostatni wybuch należy do większych i do bardzo długich, trwał bowiem 8 dni: od 4 do 12 kwietnia. Przeżywszy zaś znacznie rozmiarami klęski poprzedni wielki wybuch z r. 1872. Zniszczenie siał w obie strony: na południo-zachód płynęła lawa, w kierunku północno-wschodnim wiatr niósł chmury popiołu i zasypywał nim okolicę w sposób niemniej straszny w skutkach, jak lawa. Ofiary w ludziach obliczają ogółem na tysiąc osób, straty materjalne na 400 miljonów lirów (1 lir — 19c).

Strumienie lawy skierowały się ku południo-zachodowi i w ciągu niewielu minut zalały zniszczyły zupełnie Bosco Trecase, które los ten spotyka prawie przy każdym wiekszym wybuchu. Ponieważ to jednak nastąpiło nie pierwszego dnia wybuchu. ludność więc zdążyła ujść zawczasu, tak, iż tylko pięć osób padło ofiarą ognistego potoku.

Zniszczywszy Bosco, lawa popłynęła dalej ko morzu w kierunku Torre dell' Annunziata, strumieniem na 7 metrów grubym, a na 400 szerokim; na szczęście jednak nie doszła do tego miasta. Ale ludność, nie czekając na

nadejście gorejącego potoku, tłumnie je opuściła, tak, iż z trzydziestu tysięcy zostało zaledwie dwa.

To samo, co lawa na południo-zachodzie, zrządził popiół na wschodzie; zagrzebał on i zniszczył historyczne pod tym względem Ottajano, które ten los spotyka również nie po raz pierwszy. Ludność jednak usuwała się stąd mniej szybko, tak, iż w popiele zostało zagrzebanych około dwustu osób. Ten sam los spotkał sąsiednie San Giuseppo.

Zresztą deszcz popiołu padał wszędzie w okolicy o dwa kilometry od lądu na morzu, nie można było oddychać, tak powietrze było przepełnione popiołem. W niektórych miejscach na lądzie, w ciągu kilku minut, tworzyły się pokłady popiołu, grube na trzy metry, tak, że grzebały one ludzi w pozycji stojącej. Pociągi grzezły w popiele. W Neapolu na ulicach leżała warstwa popiołu gruba na pięć centymetrów (2 cale). Dwie hale targowe zawaliły się w Neapolu pod ciężarem popiołu i okruchów zabijając dwadzieścia osób ,a raniąc paręset.

Wezuwjusz jest jednym z wulkanów najlepiej poznanych; wybuchy jego są zapisywane z całą skrzętnością i mniejszą lub większą dokładnością w ciagu prawie dwu tysięcy lat. Samo czytanie opisów tych wybuchów przejmuje grozą i wstrząsa dreszczem.

A jednak nie jest to bynajmniej najgroźniejszy wulkan na kuli ziemskiej, wybuchy jego nie należą wcale do najstraszniejszych.

Na ziemi znajduje się około 350 wulkanów czynnych, a 400 do 500 takich, które, chociaż spokojnie obecnie, wybuchały jednak w czasach historycznych, w każdym zaś razie pozostawiły po sobie zastygłe potoki lawy oraz inne produkta wybuchów w stanie tak świeżym, że, na zasadzie tych pozostałości, możemy wnioskować o niezbyt jeszcze dawnym ich działaniu.

Europa bowiem, po za Wezuwjuszem, posiada zaled-

wie kilka wulkanów na wyspach śródziemnomorskich, zaledwie więc bardzo drobną cząstkę ogólnej ilości gór ziejących ogniem, przeto i ilość większych wybuchów w naszej części świata jest bardzo mała i stanowi zjawisko itotnie rzadkie.

Inaczej się jednak sprawa przedstawi, jeśli weźmiemy pod uwagę całą kulę ziemską. Ilość małych wybuchów niema co nawet rachować, zdarzają się one bowiem ciągle. Ale samych tylko większych, gwatownych wybuchów wypada średnio na rok 10, właściwie więc co miesiąc moglibyśmy mieć do czytania równie wstrząsający opis, jak ostatni wybuch Wezuwjusza, gdyby nie to, iż znaczna część wulkanów bo przeszło 200 znajduje się na wyspach, niektóre przytym na bezludnych, tak, iż częstokroć nie bywa ani świadków, ani ofiar katastrofy.

W każdym razie najgwałtowniejsze i najstraszniejsze w skutkach wybuchu zdarzyły się po za obrębem Europy, a do najgłośniejszych należy słynny wybuch na wyspach Krakatau, który nastąpił w maju r. 1883 i pochłonął mnóstwo ofiar, aczkolwiek same wyspy były niezamieszkane. Skutki wybuchu objawiły się tu w takiej okazałości, jak rzadko, a notowane były na ogromnym obszarze.

Wyspy Krakatau leżą na południowy-wschód od Azji w cieśnie Sundajskiej. Na jednej z tych wysp znajdował się wulkan tej samej nazwy, który wybuchal umiarkowanie w wieku XVII, następnie jednak uspokoił się trwał w tym stanie do r. 1880, kiedy nastąpiło tutaj gwałtowne trzęsienie ziemi, odczute aż w Austrji północnej.

Była to zapowiedź obudzenia się wulkanu, który pokazał całą swą potęgę dopiero w r. 1883. Wybuchy zaczęły się w maju, dosięgły zaś największej okazałości w dniach 26 do 28 sierpnia, kiedy nastąpiła gwałtowna eksplozja, wskutek której zawaliła się część stożka wul-

kanu i znikła z powierzchni znaczna część samej wyspy; z 33 i pół kilometrów kwadratowych, zmalała ona do 10 i pół. Ze stożka zaś została tylko jedna ściana stercząca z wody.

Skutki wybuchu były straszne. Na okolicznych, mniejszych wyspach, odległych o 20 kilometrów od miejsca katastrofy, zginęła co do nogi cała ludność. Na morzu powstała olbrzymia fala, wał, wysoki na 30 metrów, który wdarł się na wybrzeża dwu wielkich wysp Sumatry i Jawy, niszcząc doszczętnie calutkie wsi i miasta, wraz z ich ludnością, i zmieniając do tego stopnia wygląd miejsc, że poznawano je nie z widoku, lecz z położenia. Zginęło przytym 40.000 osób.

Olbrzymia ta fala obiegła całą kulę ziemską, naturalnie jednak z mniejszym natężeniem. Ocean Indyjski był wzburzony aż do morza Czerwonego i przylądku Dobrej Nadziei; na wschód, przez ocean Wielki, fala dotarła do San Francisko, a ostatecznie odczuto ją i na Antlantyku.

Podobne wzburzenie ogarnęło powietrze: w okolicach Kratakau szalały orkany. Fala powietrzna obiegła również całą kulę ziemską, ale dalej ludzie nie mogli już odczuć wstrząśnienia, zauważono je tylko na czułych przyrządach meteorologicznych. W Berlinie zanotowano pierwszą falę atmosferyczną tego pochodzenia w 10 godzin po wybuchu, co odpowiada szybkość 100 kilometrów na godzinę.

Huk był słyszany na ogromnej przestrzeni, mającej 3.400 kilometrów czyli wynoszącej piętnastą część powierzchni ziemi. Słyszano go na Ceylonie na zachodzie i na Filipinach, na wschodzie w Sajgonie (Indo-Chiny) na północy i w porcie Perth w Australji południowo-zachdniej na południu.

Gdyby np. ośrodek wybuchu został przeniesiony do Warszawy, wtedy huk słychaćby było nietylko w całej

Europie, ale na wschodzie Grenlandji Szpitzbergu, Nowej Ziemi, u ujścia Obi, w kolicach Tomska, około Siemipatyńska, w Bombaju, w Kraju Kongo icałej Afryce północnej.

Takim hałasem Wezuwjusz nie może się poszczycić, bo nawet w Polsce nie słyszano wcale ostatniego wybuchu tego wulkanu. Zresztą żaden z wybuchów, o jakich historja wspomina, nie wywołał tak mocnych dźwięków.

Z innych głośnych wulkanów parę słów wspomnienia należy się hawajskim, położonym na oceanie Wielkim. Jeden z nich, zwany Loa, posiada krater długości 13, a szerokości 10 kilometrów. Wylewa on przerażające ilości lawy i co najważniejsza, dość często: w r. 1852 wylał potok długi na 32 kilometry; w r. 1854 na 42 kilometry, objętością dorównywający całemu Wezuwjuszowi; w 1859 wylany został znów potok na 53 kilometry długi. Wogóle jeden umiarkowany wybuch tego wulkanu dostarcza tyleż materjału, a nawet więcej, co Wezuwjusz przez cały czas swojej działalności od słynnej katastrofy przy której zostały zniszczone Herkulanum i Pompea.

Na zakończenie wspomnimy jeszcze o jednym niedawnym wybuchu, krótkotrwałym wprawdzie, ale niezwykle groźnym. Mamy tu na myśli wybuch Mont-Pele na Martynice (w Ameryce) w maju 1902 r.

Już pod koniec kwietnia słychać tam było nieznośne dudnienie, wylatywał popiół, płynęły potoki błotne, ale wszystko to było w słabym stopniu i nie zapowiadało jeszcze groźnej katastrofy. Przyszła ona nagle. Około 8 godziny rano, 8 maja, rozległ się przerażający huk, wulkan wyrzucił olbrzymią czarną chmurę, która w ciągu jednej minuty dosięgła miasta Saint Pierre, odległego o 6 kilometrów i obróciła je w jednej chwili w perzynę, grzebiąc zarazem 30 tysięcy ludzi. Ocalał jedyny człowiek— więzień, zamknięty w głębokim podziemiu!

Katastrofa ta nagłością swą przewyższa wszystkie inne, najstraszniejsze nawet.

Należałoby tu jeszcze wskazać przyczyny, wywołujące wybuchy, jak również wytłumaczyć długie przerwy w ich działalności. Niestety, nie jest to rzecz tak prosta ani łatwa, jakby się mogło wydawać na pozór.

Umysł ludzki oddawna zajmuje się badaniem tych zjawisk tak imponujących, a zarazem tak ważnych i niebezpiecznych. Niejedno zostało tu już wyjaśnione, ale też i niejedna zagadka ciemną jest jeszcze do dziś dnia.

Brak miejsca nie pozwala nam rozwodzić się szerzej nad tą sprawą, ani podawać różnych poglądów na zjawiska wulkanizmu oraz ich naukowego uzasadnienia. Tyle tylko można tu powiedzieć, że zjawiska wulkaniczne uważamy jako skutek stygnięcia i kurczenia się ziemi, które wywołuje rozmaite zmiany w stanie ognisto płynnej masy czyli tak zwanej magmy, wypełniającej wnętrze ziemi, i wypychają ją w pewnych chwilach do góry.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu bywa działanie pary wodnej i gazów; one bowiem dostarczają siły wybuchowej, wyrzucając wszystko na powierzchnię. Woda dostaje się w głąb ziemi szczelinami jej powierzchni oraz bezpośredniem wsiąkaniem. Zetknąwszy się z rozpaloną magmą, zamienia się ona w parę, która prężnością swoją dostarcza magmie siły wybuchowej. Za takim przypuszczeniem przemawia, między innymi, ta okoliczność, że w bardzo wielu miejscowościach (np. na wyspach Hawajskich) przeważająca ilość wybuchów przypada na czas deszczów.

HISTORJA ZAPAŁKI.

Komiczny tytuł, nieprawdaż? I cóż za historję może mieć patyczek, umaczany w siarce? Wstrzymajmy jednak na chwilę uśmiech i posłuchajmy, jakie to koleje przechodził wynalazek tej niezbędnej dziś zapałki.

200 lat temu odkryto ciało, zwane fosforem. Zawdzięczamy odkrycie to alchemikom, którzy poszukiwali sposobu wyrabiania złota z metali prostych. Były to poszukiwania bezowocne, nie mniej jednak alchemicy wzbogacili wiedzę niejednym ciekawym odkryciem.

Jeden z alchemików, Brandt, był najpierw kupcem w Hamburgu, który po stracie majątku wziął się z zapałem do alchemji. Złota poszukiwać należało według niego nie utartą drogą, przetapiając metale, lecz w "najwspanialszym tworze natury", a tym było bezwątpienia ciało ludzkie "mikrokosmos". W myśl tego rozpoczął on poszukiwania w... moczu ludzkim.

Gotował, mięszał, destylował mocz, aż pewnego dnia, w r. 1666go ujrzał na dnie retorty ciało o dziwnych własnościach. Miało to ciało słaby zapach czosnku, smak ostry i wstrętny. Już przy zwykłej temperaturze parowało, para świeciła w ciemności. Potarł tym ciałem palce zlekka, poczęły świecić! Rzucił wtedy ciało do wody gorącej i o dziwo, utworzył się w wodzie tajemniczy, świecący obłok! Ciało to nazwał Brandt fosforem i odtąd sprzedawał małe ilości na wagę, tajemnicy zaś nie wydał. Jeszcze w roku 1730ym uncja (31 gramów) fosforu kosztowała od 10 do 16 dukatów.

Oczywiście, że współcześni mu alchemicy starali się wszelkimi możliwymi sposobami tajemnicę tę zbadać. Między innymi kusił się też oto alchemik ówczesny Kunkel. W 60ych latach siedmnastego stulecia wstąpił on do służby na dwór książęcy w Dreźnie, jako zarządzający

apteką królewską. Żywą była tam tradycja, że ojciec panującego księcia znał wiele tajemnic naukowych, a między innymi miał też odkryć kamień filozoficzny. Temu przypisać należy zapał, z jakim Kunkel podjął się pracy w aptece książęcej. jak z pamiętników jego bowiem sądzić należy, nie opływał on w dostatki; książę pan nie płacił mu nic. Z za kart manuskryptu przegląda też gorzko uśmiechnięta twarz uczonego, szczególniej, gdy mówi: "muszę się wynieść z Drezna, ze skruchą bowiem przyznaję, że sztuki umierania z głodu nie posiadam".

Gdy się Kunkel dowiedział o nowym odkryciu, zawarł umowę z niejakim Krafftem, lekarzem awanturniczego usposobienia, by tajemnicę za grosz wspólnie zebrany odkupić.

Krafft stał się panem tajemnicy za 200 talarów, lecz Kunkla podszedł i sam objechał dwory książęce z fosforem. Wkrótce jednak udało się również Kunklowi z moczu otrzymać fosfór. Wtedy już tajemnica ustała. Za 10 talarów uczono teraz wszystkich tajemnicy.

W umyśle niejednego z czytelników powstanie pytanie, skąd się wziął jednak fosfór w moczu? Tłumaczy się to w ten sposób: Jak wiadomo, spożywamy pokarmy różne, by utrzymać nasze ciało przy życiu. Pokarmy przeważnie składają się z ciał organicznych (zawierających węgiel) , muszą też jednak zawierać i ciała nieorganiczne, jak to: sól kuchenną, fosforan wapna dla kości, żelazo dla czerwonych ciałek krwi itd. W ciele ludzkim, w tym złożonym, a cudnym laboratorjum, następuje rozkład tych ciał. Krew we wszystkich kierunkach roznosi soki pożywne i unosi ciała zużyte, lub też powstałe z ich rozkładu. Organizm uwalnia się wreszcie od ciał zbytecznych przy pomocy nerek, które wydzielają w moczu ciała w stanie rozpuszczonym. Dlatego to w moczu znajdujemy sól kuchenną, żelazo, fosforan wapna,

fosforan sodu. Jeżeli się więc wyparuje na gorąco urynę, to węgiel ciał organicznych połączy się z tlenem kwasu fosforowego, tak, że otrzymamy fosfór wolny.

Od odkrycia fosforu do zastosowania tego ciała w przemyśle upłynęło lat wiele. Naturalnie wynaleziono nowe sposoby otrzymywania go w większej ilości, zasada jednak jego fabrykacji pozostała ta sama. Fosfór wydobywają obecnie z kości, w ostatnich czasach otrzymują go z kwasu fosforowego, destylując go z węglem.

Pierwsze zapałki były to szklanne rurki z kawałkiem fosforu wewnątrz i lontem (światełka turyńskie). Rurkę tłuczono, fosfór się zapalał, płomień przenosił się na lont.

Wynalazek zaś właściwych zapałek zawdzięczamy podobno młodemu Węgrowi, Stefanowi Irinyi'emu. Myśl ta strzeliła mu do głowy podczas odczytu z chemji, na którym był obecny, gdy robiono doświadczenia z fosforem. Już w r. 1833 założono fabrykę gąbek do zapalania i zapałek, lecz zapałki te były niebezpieczne, pryskały i eksplodowały łatwo, a to wskutek tego, że do fosforu dodawano ciała bardzo niebezpiecznego, tak zwanej soli Bertholeta, której też próbowano używać do wyrabiania prochu, lecz młyn wraz z prochownią wyleciał przy tym w powietrze. Postarano się też zastąpić sól ową ciałem mniej niebezpiecznym i główkę zapałki pokrywano cienką warstwą laku.

Zapałki zaś robiono w sposób następujący: Na deszczułkę kładziono kilkaset pręcików rzędem, kilkanaście takich deseczek kładziono jednę ponad drugą i umocowaną klamrą ze śrubami, przyczym z każdej deseczki wystawały pręciki, robotnik miał skierowane ku sobie końce tysięcy pręcików. Należało teraz pogrążyć końce te w masę palną, a każdy pręcik otrzymywał główkę.

Zapałki te były przez długi czas w użyciu, lecz były

one niebezpieczne dla robotników, którzy je wyrabiali i dla szerszej publiczności. Dlatego to już dawniej starano się zastąpić fosfor żółty ciałem innym i już w roku 1848 chemik Boettcher we Frankfurcie wynalazł tak zwane zapałki szwedzkie. Zastąpił on fosfor żółty fosforem czerwonym, który ma własności znacznie łagodniejsze. Brał ów fosfór z domieszką ciała, któreby powiększało tarcie, np. pyłu szklanego i pokrywał tym tekturę. Z wyżej wspomnianej soli Bertholeta z domieszką ciał w tlen bogatych zrobił on główkę. Zapałka taka potarta o tekturę zapala się łatwo, o inną płaszczyznę, znacznie gorzej.

Był to dowcipny pomysł, lecz mamy tu do czynienia z faktem, często w technice spotykanym. Od pomysłu do urzeczywistnienia go na wielką skalę, upłynęło lat 22. Ten wynalazek Boettchera dopiero w Szwecji w r. 1870 wszedł na właściwą drogę i zrobił przewrót w fabrykacji zapałek. Nastąpił wtedy okres zapałek szwedzkich. Masą Boettchera pokrywano boki pudełka, drewienka zaś maczano w siarce z domieszkami ciał tlen zawierających. Dzisiejsze zapałki nie odbiegają w zasadzie od tego sposobu fabrykacji. Jeżeli zapałką potrzesz, czytelniku, o pudełko, to w miejscu tarcia zapali się fosfór czerwony na pudełku, płomień przeniesie się na siarkę, następnie na drzewo zapałki. Chemja wypowiedziała w dziedzinie tej fabrykacji ostatnie słowo, postępy też polegają tylko na maszynach.

Maszyny uprościły fabrykację zapałek. Już w r. 1892 5 robotników robiło tyle, co niegdyś 22. Od tego czasu ulepszenia szły szybkmi krokiem w Ameryce. Narzuciły się one jednak uwadze fabrykantów europejskich dopiero w roku 1903. Z powodu wynikłego strajku, francuskie towarzystwo monopolu zapałek zakupiło te maszyny. Skutek był ten, że gdy strajkujący wrócili do pracy, odmówiono im zajęcia; maszyna ich zastąpiła.

Ponieważ do obsługi tych maszyn potrzeba bardzo mało robotników, przeto zapałka należy do fabrykatów, których cena nie jest zależna od zapłaty robotników; suma, którą się wypłaca robotnikom, podzielona przez ilość pudełek jest tak małą, że się z nią wcale liczyć nie warto, robotnikom więc tu można płacić znacznie drożej, nie odbije się to jednak na cenie pudełka, a tymbardziej zapałki.

Taka sama zależność istnieje w fabrykacji igieł do szycia przez nowoczesne maszyny amerykańskie. Pół tuzina robotników może podobno wystarczyć na całe Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. I tutaj więc podwyższenie zapłaty nie wpłynie na cenę igły.

Na zakończenie rzucimy zapytanie. Czyś nie myślał czytelniku o tym, co będzie, gdy drzewa do zapałek zabraknie? Gdyby każdy z mieszkańców Chicago zużył jedną zapałkę dziennie, to potrzeba dzienna wyniosłaby 2,000,000 precików.Ogolocilibyśmy wkrótce wszystkie lasy wokół Chicago.

Nie troszcie się jednak o to, już zastąpiono drzewo w niektórych miejscowościach torfem.

Oczywiście, że Ameryka nie potrzebuje się do torfu uciekać, ma bowiem drzewa dużo, tak zwanego Cotton wood. 100 sześciennych metrów takiego drzewa kosztuje około $350, lecz fracht do Hamburga wynosi około $700, jest więc to drzewo dla Europy za drogie.

Zapałki wyrabiają w tych krajach nawet, gdzie przemysł naogół jest słabo rozwinięty. A więc w Persji, Brazylji, na Jawie, w Japonji. Monopole istnieją: we Francji, Romunji, Serbji, Grecji,, we Włoszech, w Rosji i w Portugalji. Konkurencja Japończyków, niska płaca ich robotników, jako też i inteligiencja tych ostatnich daje się we znaki na Dalekim Wschodzie. Fabryka na Jawie zbankrutowała podobno z tego powodu.

Treść "Pochodni" od No. 1 do 10:

"Pochodnię można zamawiać od numeru pierwszego.